Rok IV. Kraków, dnia 20 Sierpnia 5 i 20 Września 1885 r. Nr. 16. 17. 18.

PRZEGLĄD
LITERACKI I ARTYSTYCZNY

pismo poświęcone literaturze, sztuce i sprawom społecznym.

PRENUMERATA.
W Krakowie: *rocznie 6 złr., półrocznie 3 złr.. kwartalnie 1 złr. 50 ct.*
Z przesyłką w Austryi: *rocznie 6 złr. 50 ct., półrocznie 3 złr. 25 ct., kwartalnie 1 złr. 63 ct.*
W Wielkopolsce: *z przesyłką rocznie 12 Mrk., półrocznie 6 Mrk., kwartalnie 3 Mrk.*

Główny redaktor K. Bartoszewicz.
Wydawca i redaktor odpowiedzialny Jan Blaschke.
Adres Redakcji i administracji:
K. Bartoszewicz w Krakowie
ul. Sławkowska, hotel Saski.

W Warszawie: *prenumerata rocznie 4 rs., półrocznie 2 rs. Z przesyłką do Cesarstwa i Królestwa rocznie 6 rs.. półrocz. 3 rs. Skład główny w Warszawie u G. Centnerszwera. (Marszałkowska 73).*
Przegląd wychodzi każdego 15go i 30 dnia miesiąca i obejmuje półtora arkusza druku.

OD REDAKCYI.

Zapowiedzieliśmy w zeszłym Nrze «Przeglądu», iż pragnąc uregulować wydawnictwo naszego pisma, dostarczymy prenumeratorom Nra, zamykające kwartał 3ci 1885 r., a opuszczając zupełnie kwartał ostatni, rozpoczniemy wydawnictwo regularne kwartałem 1szym r. 1886, przenosząc prenumeratę z kwartału IV. 1885 na kwartał 1szy 1886 roku.

Dotrzymując przyrzeczenia, wydajemy dziś 3 Nra zaległe z 3go kwartału.

Pierwszy Nr. 1886 r. wydamy w dniu 20 Stycznia, w zmienionym, a dla prenumeratorów znacznie korzystniejszym formacie. Zamiast 1½ arkusza druku, będziemy dawali 2½ do 3 arkuszy w formacie książkowym, w wielkiej 8ce.

Zapewniwszy sobie stałe współpracownictwo znakomitych pisarzy, mamy nadzieję, iż utrwalimy byt jedynego pisma literackiego w Galicyi, które od lat 4ch spokojnie i powoli rozwija się, nie upadając pod brzemieniem przeciwności.

Nie służąc żadnym panom, ani koterjom, zawsze wypowiadaliśmy w sprawach ogólnych i bieżących otwarcie swoje przekonanie, bez zwracania uwagi, czy się to komu podoba lub nie podoba. Tej drogi będziemy trzymali się i nadal. Zwolennicy prawdziwego postępu ekonomicznego, naukowego i artystycznego, nie połączymy się jednak nigdy z krzykliwym liberalizmem, umiejącym tylko przeczyć i burzyć, a nie budować. Wierni tradycyom narodowym, pielęgnować je będziemy jako drogą spuściznę, nie pochwalając jednak wad przeszłości i dawno na śmierć skazanych zasad, które sztucznie ożywić usiłują pseudo-konserwatyści. Trzeźwość i niezależność naszego sądu w rzeczach literackich i artystycznych zyskała sobie już dawno uznanie, bo nie służąc koterjom nie służymy i ludziom. Nie pytamy się kto napisał, kto grał i kto malował, ale jak napisał, jak grał i jak malował — nikt nam nigdy nie zarzuci, abyśmy dla materyalnej korzyści sprzedawali swoje pióro wydawcom lub przedsiębiorcom.

Korzystając z prawa, jakiego, w trzydzieści lat po śmierci największego wieszcza naszego, nabył ogół do nieśmiertelnych dzieł jego, wydajemy własnym nakładem **Dzieła poetyczne Adama Mickiewicza** i rozdajemy je **bezpłatnie** wszystkim naszym całorocznym prenumeratorom.

Warunki prenumeraty «Przeglądu«, pomimo rozszerzenia pisma i bezpłatnej premii, pozostają też same.

Prenumeratorowie składający całoroczną prenumeratę z góry, otrzymają «dzieła poetyczne Adama Mickiewicza» w Marcu, półroczni w Lipcu, kwartalni w Październiku.

«Dzieła poetyczne» Adama Mickiewicza wyjdą w 3ch tomach, na wzór najpierwszych tego rodzaju wydań popularnych zagranicznych.

Prenumeratorzy zamiejscowi zechcą na koszta przesyłki dzieł poetycznych Adama Mickiewicza dołączyć 50 ct.

Prenumeratorzy nie pragnący korzystać z tej premii, mogą zamiast niej wybrać albo dzieła Juliusza Słowackiego (w 5ciu tomach), albo dzieła J. U. Niemcewicza (w 5ciu tomach) lub wreszcie dzieła Ignacego Krasickiego (w 5ciu tomach), które im bezpłatnie za zwrotem kosztów przesyłki (50 ct.) wysłane zostaną.

7 Stycznia 1886 r.

„NA GWIAZDKĘ".
POGADANKA PEDAGOGICZNA.

Wystawy księgarskie i lady sklepowe z końcem każdego roku niezwykłą przybierają postać. Zamiast zwykłych książeczek o białej, szarej, niebieskiej lub czerwonej, papierzanej okładce, stoją szeregi w najrozmaitsze kostiumy przybranych abecadlników, źwierzyńców, baśni, podarków zabaw, pamiętników, stoją poszukiwacze złota, osadnicy, wygnańcy, Guliwery, Don Quichoty i rozmaite Robinsony, nakoniec przeróżne Rozrywki, Biblioteczki, i Biblioteki dla młodzieży. Prawdziwa maskarada! Okładki błyszczą złotem i jaskrawymi kolorami, nie rzadko na

tytułowej karcie pomieszczone straszne sceny z przygód myśliwych w Afryce lub Ameryce i z baśni ludowych, lub obrazy z przyrody i podróży, a postać ta zewnętrzna tak łudzi i bawi i nęci, że zwykle nietylko bywa dla dzieci wyłącznym przedmiotem podziwu i gorących życzeń, ale nawet wpływa na postanowienie rodziców kupienia pieszczoszkowi tej a nie innej książki „na gwiazdkę“.

Zaprawdę piękny to i chwalebny zwyczaj obdarzania dzieci umiejących już czytać stosowną do wieku książeczką; bo lubo jego początek leży w chęci wyręczania się drugimi tam, gdzieby wychowawcze słowo rodziców jedynie głos mieć powinno, jednak łepiej, że je zastąpi ktoś, niż żeby go ciekawe i budzące się do życia umysłowego dziecię zupełnie miało być pozbawione. Ale właśnie *w tym* celu każdej dla dzieci przeznaczonej książeczki, leży zarazem tak trudne dla jej autora zadanie, jak również potrzeba wielkiej skrupulatności w wyborze dla kupującego.

Przykro to powiedzieć i trudno bez narażenia się na zarzut pessymizmu, a jednak powiedzieć trzeba koniecznie, że z bardzo nielicznymi wyjątkami ani autorowie książek dla dzieci ani kupujący je rodzice nie zdają sobie jasno sprawy z tego, w jakim je celu pierwsi piszą, drudzy kupują. Inicyatywą dla autorów są wydawcy, którzy z nadejściem jesieni, myśląc o gwiazdce wcześniej niż inni, wzywają znanych sobie a często i interesami związanych pisarzy i literatów do napisania „*czegoś*“ dla dzieci. „Czegoś“ — ale czego? Wyszukanie przedmiotu wymaga nietylko dokładnej znajomości literatury, że tak powiemy, dziecinnej, ale znajomości celów wychowawczych i natury dzieci, ich pragnień i dążeń, które rozwijać lub tłumić i do pewnego celu kierować należy. Do tego wszystkiego brak przedewszystkiem czasu, bo termin napisania niedaleki, brak nieraz nawet i chęci, boć książka dla dzieci to rzecz taka drobna i nudna a honoraryum nizkie. Najprostsza więc i najłatwiejsza rzecz przerobić lub dosłownie przetłumaczyć jakąś książkę dla dzieci po francuzku, niemiecku, rzadziej po angielsku napisaną, choćby nawet z przeszłego jeszcze wieku, lub przerobić jakąś baśń ludową albo skazkę, w której przedewszystkiem być musi jak najwięcej cudowności i nieprawdopodobieństw. Często nawet tego trudu oszczędza „autorowi“ wydawca; przesyła bowiem albo gotowe dziełka do przetłumaczenia albo klisze obce dla dorobienia do nich tekstu wierszem lub prozą. I tak z impulsu wydawców a łaski tłumaczów i dorabiaczów powstają książki przerażające wyskokami rozbujałej fantazyi dziecięce umysły, egzaltujące aż do śmieszności lub uczące konwenansu i salonowego szyku, stawiające za cel życia człowieka sybarytyzm i modę a za środek do tego próżniactwo i zdanie się na wolę opatrzności! Co za korzyść odniesie dziecko z Podróży Guliwera lub szaleństw Don Quichota, co mu z tego, że się dowie o osadnikach afrykańskich lub amerykańskich poszukiwaczach złota, jeżeli ono nie zna najbliższej mu ziemi rodzinnej, najbliższych mu jej mieszkańców i nie wie „co w niej leży“. Wielki naród kupców i marynarzy ma w tem szczególne zadanie, aby internsującemi opowiadaniami Mayne-Reida zaszczepiać wcześnie w młodzieńcze umysły przedsiebiorczość i możność samopomocy (self-help), zamiłowanie do podróży i przygód morskich — nam zależeć powinno na rozwinięciu narodowego charakteru i przez poznanie tego co nam najbliższe i najpotrzebniejsze, wychować lepszych od siebie synów ojczyzny. Ale któżby o tem myślał przy układaniu książki dla dzieci? Wszak dla wydawcy a poniekąd i dla tłumaczów przerabiaczów celem jedynym — interes....

Parę tylko jeszcze dni do Świąt — trzebaby co kupić dzieciom na gwiazdkę. Obok rozmaitych świecidełek, brzydkich pajaców i modnie ubranych lalek, *zwyczaj* każe przynajmniej starsze dzieci obdarzyć książeczką. Idzie się tedy do księgarni i żąda *czegoś* dla dzieci — *czegoś* dla tego, że się nie wie, co w tym kierunku napisane i jakie. Żąda się zaś zwykle rzeczy najnowszych, bez względu na to, czy one są najlepsze. O wyborze stanowi sensacyjny tytuł i piękna okładka; często i ocena sprzedającego, który ani nie miał czasu, ani chęci zapoznania się z nadeszłymi nowościami dla dzieci. Co więcej — taniość książki bywa także wielkim jej przymiotem, zwłaszcza jeżeli obok tego i objętość jej spora i okładka nie brzydka. W ten sposób dostają się do rąk dzieci nieraz najniestosowniejsze książki, rozpalające imaginacyę i odbierające im na dni wiele spokój umysłowy. Z potulnego dziecięcia robi się krnąbrne, z posłusznego nieposłuszne, z delikatnego w obejściu szorstkie i grubijańskie, z chętnego i pilnego niedbałe i leniwe. Jeżeli dziecko to już chodzi do szkoły, zwykle wszystkie te ujemne strony usposobienia i tę smutną odmianę przypisuje się szkole i rzuca na nią kamieniem potępienia. I tu znowu sprawdza się zdanie żeśmy zwykli szukać przyczyn złego w drugich a nie w sobie. Szkoła winna i nauczyciel winien — mówią rodzice; dom winien i jakieś niekorzystne w nim wpływy — myśli nauczyciel, który obserwuje ucznia i widzi w nim ciągły stopniowy postęp ku złemu. Ten sam uczeń, który przedtem był uważny, teraz roztargniony i czem innym zajęty; ten sam uczeń, którego przedtem wszystko interesowało, i który chętnie rwał się do opowiadania ustępów z książki szkolnej, teraz tylko z zajęciem słucha o polowaniu na dusiciela, sądach bożych w głębi Afryki lub niewolnikach w Brazylii; każdy ustęp treści historycznej lub rozumującej jest dlań nudny i nawet z wysiłkiem nauczyciela nie jest w stanie zdać z niego należytej sprawy.

Dalecy jesteśmy od przypisywania wszystkich złych skutków wychowania tylko czytaniu niestósownych książek, ale to na podstawie doświadczenia twierdzić możemy, że dzieci rodziców ubogich, nie zepsute okropnościami i nadzwyczajnościami książek gwiazdkowych, nietylko z książki szkolnej korzyści odnoszą, ale chętnie wskazane im ustępy z własnej pilności w domu przerabiają, z nich sprawę zdają i wskutek tego lepiej po polsku piszą, bo nie przesiąkły tysiącznymi błędami stylistycznymi wyrobów gwiazdkowych.

Takie bywają skutki tego środka wychowawczego, którego motorem i źródłem z jednej strony interes, z drugiej zwyczaj. Złe grasujące coraz bardziej potrzebuje koniecznie zapory, jeżeli nie chcemy na nieobliczone wystawić się następstwa. W tym względzie, pomijając wydawców, którym przedmiot ten bywa niestety obojętny, zwrócić się musimy przedewszystkiem do „autorów“ i kupującej publiczności.

Na palcach prawie policzyć się dadzą książki pisane z zamiłowania do przedmiotu, z pobudki służenia dziatwie i mające za przedmiot rzeczy ojczyste. Jachowicz, Jeske, Anczyc, Hoffmanowa, Krakowowa, zapisali swe imiona zaszczytnie w tej gałęzi piśmiennictwa, Rzętkowski, M. J. Zaleska, Teresa Jadwiga, A. Ch. Borkowska, Z. Urbanowska, wyróżniały się z pomiędzy wielu i wzorem poprzedników i poprzedniczek powinniby nieustanie kroczyć tą drogą, żmudną ale obfitą w owoce. Przedewszystkiem wszyscy piszący dla dzieci powinni co i jak dla każdego wieku przeznaczyć, i wyraźnie to na tytule książki napisać; powiastki służyć muszą najmłodszym dla zachęty do czytania, starsze dzieci, zwłaszcza chodzące do szkoły, muszą mieć w książeczkach takich popularne przedstawienia rzeczy naukowych, które im wyjaśniają wiele szczegółów nieporuszonych przy nauce szkolnej. Dział ten powinien się rozpoczynać od geografii i etnografii ziemi ojczystej, między nim a powiastkami stanąć powinny opowiadania dziejów narodowych. „Cudze znać dobrze jest, a swoje potrzeba“ — dlatego dopiero na wyższym stopniu, kiedy już można na pewne ufać, że „swoje“

dzieci znają dobrze, zapoznawać je potrzeba z obcem, a i między tem wybierać nie ciekawe i niezwykłe, ale prawdziwe i kształcące.

W ślad za zmianą kierunku i przedmiotu obieranego dla książek dla dzieci, powinny iść poradniki dla rodziców i opiekunów wskazujące im najodpowiedniejsze dziełka, (w rodzaju Poradnika Dra Karłowicza) lub Krytyczne Katalogi, którym początek dał już p. Adolf Dygasiński. Najstósowniejszem zaś byłoby stworzenie stałego takiego działu sprawozdawczego w pismach codziennych, jako najwięcej czytywanych, a obok tego publiczność miałaby prawo wymagać od samych władz szkolnych, aby jej w tym względzie dopomagały. Ogłaszanie w sprawozdaniach rocznych gimnazyów ocen krótkich książek dla młodzieży wydanych, lub choćby tylko wyliczanie tych, które zalecić można, oddałaby sprawie tej również niepoślednie usługi.

Cokolwiekbądź podjęte być musi w tym kierunku, aby rzecz na inne przeprowadzić tory, jeźli nie chcemy, aby sprawa wychowania w zarodku zaraz doznawała zwichnięcia. Pamiętajmy zawsze o tem, że takie mamy dzieci, jakie sobie sami wychowamy a „republica tales habitura est cives, quales sibi ipsa format.“

Obok przedmiotu czytania, nie mniej ważną jest sprawa, *jak czytać należy*, aby to czytanie nie było tylko zabiciem czasu, ale przynosiło korzyści. Na to atoli potrzeba osobnego artykułu, którym może w niedalekiej przyszłości Łaskawym Czytelnikom służyć będziemy.

Roman Zawiliński.

PAJAC.

przez

ACZAREMA.

Życie przyrody niedługo zamrzeć miało. Natura przed swym spoczynkiem rozwieszała po drzewach, rozlewała po łąkach i polach złociste, żółte i rubinowe barwy. Na topolach i gruszach sterczały już gałęzie długie, czarne, ogołocone z liści, rysując się na jesiennym błękicie delikatnemi konturami. Październik się zaczynał; chłodne lecz spokojne powietrze zapowiadało pogodę trwałą; spodziewaliśmy się wszyscy najpiękniejszego końca jesieni, a nie wiem czy kogo te wróżby tak cieszyły, jak mnie. Moje usposobienie stało zawsze w bezpośrednim związku z zewnętrznemi wpływami i tylko w dnie jasne spoglądałem weselej przed siebie, a gdy niebo zaciągało się czarnemi obsłonami, pochmurniałem i posępniałem.

Cieszył mnie też dzień dzisiejszy. Przyglądając się dwu moim uczniom, którzy półgłosem powtarzali zadaną im lekcyę, chodziłem dużemi krokami po pokoju i co chwila zbliżałem się do otwartego okna, stawałem w niem, po kilka minut roskoszując się lśniącym błękitem, spokojem i ciszą rozlaną w całym krajobrazie, grą słonecznych promieni w smutnych kolorach liści i traw.

Zatrzymując się w framugach okna puszczałem wodze moim myślom lub stawałem się niewolnikiem wrażeń, jakim moja dziwna, podówczas trochę sentymentalna natura podlegała.

Teraz rozglądając się z mego okna w szerokim widnokręgu, widziałem tylko jeden szary ugór wśród czarnych zoranych łanów, patrząc na błękitną wstęgę lasow, zatrzymywałem się na pojedynczej kopule zieleni lub nieraz w dalekim polu spostrzegałem jeden słup dymu, który się wznosił z rozpalonego ogniska.

Blisko godzinę mierzyłem krokami długie deski podłogi, spoglądałem w obraz malujący się przedemną z ram okna, rzucając od czasu do czasu słowa napomnienia moim uczniom, gdy spostrzegłem, że ich myśl odbiegała od książki.

Południe dochodziło właśnie. Na podwórzu rozległ się dzwonek; z przyległej wioski przez rzadkie, powietrze jesienne przedarł się odgłos dzwonów kościelnych; młodzieży pochylonej nad stołem coraz smutniej było wysiedzieć przy zajęciu, któremu, mówiąc nawiasem, nie oddawała się z nadzwyczajnym zapałem.

Uczniowie moi byli to dwaj chłopcy zdolni pod każdym względem, rozwinięci wszakże więcej fizycznie niż umysłowo; na dworze czuli się u siebie, w czterech ścianach wobec druków i atramentu o wiele mniej swobodni i zadowoleni. Nie brałem im tego za złe; ogólna to wada młodych! Byłem do moich uczniów przywiązany szczerze, gdyż mieli szlachetne charaktery żywe, otwarte i odważne, t. j. posiadali w sobie to wszystko, co według mego zdania daje rękojmię o przyszłym człowieku. Wyobraźnię posiadali także rozwiniętą, lubili słuchać, gdym im rozpowiadał podania o rycerzach i gotyckich zamkach, lub czytał zrozumiałe dla nich poemata. Ta okoliczność usposobiała mnie także dobrze względem moich uczniów. Jeżeli podczas mego zawodu nauczycielskiego nie udało mi się wykształcić żadnego geniuszu, jeżeli moje nazwisko, przypuszczam, nie będzie wspomniane w żadnej encyklopedyi pedagogicznej, to przynajmniej zostaje mi ta pociecha, że żaden z moich uczniów nie splamił nigdy swego nazwiska, honoru i serca. Przyznam się nawet, że rozwijałem tak umiejętnie najrozmaitsze struny uczucia i odwagi, że wszyscy bez wyjatku, prawie moi Telamacy pożenili się przed 24 rokiem życia (wszyscy z miłości) a większa część z nich sztrzelała się lub rąbała przed skończeniem ośmnastej wiosny. Mniej romantyczną za to poszedł drogą ich nauczyciel, jemu więcej niż zdwoiły się już te kresowe lata w życiowej wędrówce, starł dawno na proch kiedyś żywe serce, a ze złudzeń i westchnień młodości pozostał tylko jeden nawpół rozkwitły i zaschły pączek niezapominajki. Ale długie te i boleśnie wspomnienia opowiadając, smutną powieścią sobie nie ulżą, innych nie nauczą, a zbyt starym jestem, aby uczyć bez celu.

Kwadrans nas dzielił od obiadu, wziąłem się zatem do przesłuchiwania zadanych lekcyj, starszy zaczął swój popis. Miał zadanych kilkanaście pierwszych strof z «Ostatniego», Krasińskiego. Każden z moich uczniów, gdym go puszczał w świat, umiał ten poemat na pamięć.

Jaś (tak było na imię starszemu bratu, młodszy nazywał się Władzio), deklamował z przejęciem, śmiało i głośno, stanął na środku pokoju naprzeciw okna, zapuścił oczy w krajobraz i zaczął:

Z gór, gdzie dźwigali strasznych krzyżów brzemię
Widzieli zdala obiecaną ziemię!
Widzieli światło niebieskich promieni,
Ku którym, w dole, ciągnęło ich plemię —

Jaś odczuwał, co mówił, ja zaś potakiwałem mu głową na znak zadowolenia. Wtem z dworu doleciały mnie inne wyrazy, ani poetyczne, ani rymowane: Panie Królik, panie Kroóólik!

Głos to był mojego chlebodawcy, ojca Jasia i Władzia, wołał on mnie przed swe oblicze.

Wychyliłem się przez okno. Pan Grzebski otyły i najczęściej zadowolony z siebie jegomość, stał z głową wzniesioną ku górze, z czoła sączył mu się pot obficie, w jednej ręce trzymał sękaty kij, drugą gładził wychudłego psa, który się kręcił, podskakiwał i lizał pulchną jego rękę.

«Dzień dobry panu dobrodziejowi».

«A jak się pan miewa, nie marynujże mi waćpan moich bisurmanów, słońce już u południa, woły nawet dla wypoczynku po łące chodzą, dajże już pokój tej nauce».

«Będę zaraz panu posłuszny jak tylko Jaś skończy deklamacyą».

«Aha daklamują, no proszę, a co deklamują?»

«Ostatniego» Krasińskiego.

Niech i ojciec usłyszy coś pan nauczył tych nicponiów, Jasiu, pokażże się tutaj.

Okrążyliśmy framugę okna, Jaś stał w środku nas i w dalszym ciągu od miejsca, gdzie się zatrzymał rozpoczął przerwaną, wstępną strofę:

A sami do tych nie wejdą przestrzeni!
Do godów życia nigdy nie zasiędą,
I nawet może — zapomniani będą.

«To coś jakby proroctwem trąci, dodał ojciec.

Nie trzeba było dwa razy moim uczniom powtarzać tego rozkazu, za małą chwilkę znaleźli się na dole, opadli z dwoch stron uśmiechniętego ojca, porwali każdy za inną jego rękę, ucałowali je, potem skubać poczęli wychudłego psinę, przewrócili go, a gdy ten się zerwał, pędem puścili się przed siebie, pies zas wyciągnąwszy się, pogonił ich aż w koniec ogrodu.

Pies ten nazywał się Pajac. Miał niezmiernie długie uszy, wesołe filuterne oczy, znajdował się zawsze w wiecznych podskokach, nie należał do żadnej rasy, zwyczajnym był stróżem, pospolitym kundysem. Bezustanny humor, który go odznaczał, śmieszny prawdziwie wyraz jego fizjonomii zupewne był powodem, że go Pajacem nazwano. Nie przypominam sobie na razie żadnych więcej charakterystyczniejszych cech, wyróżnić go mogących od innych widzianych psow i lecz zdaje się, że każdemu z was przyjdzie to łatwo, jeżeli zechce przedstawiać sobie w wyobraźni wychudłą figurę Pajaca, ktora teraz w ogromnych susach skakała około moich uczniow.

Na chwilę przed domem pozostał sam pan Grzebski, usiadł na ławeczce pod pobliskim kasztanem, obcierał fularową chustą strugi potu, sapał, powtarzał od czasu do czasu «wisusy, wisusy,» i spoglądał w stronę, gdzie zniknęła wesoła dziatwa. Tymczasem na ganku zaskrzypnęły drzwi i w nich ukazała się wysoka i smukła kobieca postać o rysach twarzy podłużnych, o małych przymrużonych oczach, z chmurą gniewu na pożółkłem obliczu. Ubraną była w czarną, skromną, trochę powłoczystą suknię, ruchy miała prędkie i nerwowe.

Nie zeszła jeszcze z ganku, a już oczy małżonków się spotkały (była to bowiem pani Katarzyna Grzebska); rozmowę zaczęła pani Katarzyna wzburzonym głosem:

«Wiesz Kociu, Pajac jest niemożebny, zastrzel go, nie zniosę tego psa».

Małżonka te słowa ubodły.

— A to czemu? — bąknął lakonicznie,

«Jeżli go nie zastrzelisz, mowiła, podnosząc głos, wysoka pani, to ja go sama każę wypędzić, podaruję go chłopu ze wsi, a nigdy nie pozwolę, aby mi codziennie kaczki i kury dusił, skubał i ranił trzodę, jednem słowem, moj kochany, niszczy całe gospodarstwo. Dziś, wystaw sobie, znów w ogrodzie znaleziono pierze z kilku kur, Kociu, pozbaw nas tego szkodnika.

«Ależ nic z tego moja duszko nie będzie, zaręczam ci... jak to, dla twoich fanaberji mam się pozbawiać Pajaca, żyw go lepiej, to ci a kury i kaczki zostawi w spokoju.

«No, co on zjada, mówiła wcale nieuspokojona pani Katarzyna, co on zjada dziennie tego by nie zwinął w wołową skorę.

«Ja się w to nie chcę mieszać, Pajac jest dobry stróż i basta!

W tej chwili z przyległej uliczki wypadli Władek i Jaś a przed nimi biegł pies w podskokach, kręcąc ogonem z zadowolenia.

Rownocześnie jednak z sąsiednich krzaków wysunęło się raptem kilka kur, a kwakając głowami posuwały się prędko ku trawnikom. Pies je w oka mgnieniu spostrzegł i rzucił się ku nim przez trawnik. Pani Grzebska spostrzegła z tąż samą szybkością sytuacyą, nie zdobyła się jednak wobec tego położenia bez wyjścia, na nic innego, jak na rozpaczliwy okrzyk: Pajac tu! Pajac!....

Za solem pani Katarzyny ozwał się nie zupełnie melodyjny tercet trzech pozostałych członków rodziny, wzruszonych do głębi przykrością zasępionej matrony.

Pajac tu, pajac tu, zawołano kilkakrotnie.

Próżny to był rozkaz, Pajac znalazł się w jednej chwili przed spłoszonym stadem, które chciało unieść się w powietrzu, ofiara została wybrana, najbliżej podrywająca się przed nim kurę pochwycił, pierze się z niej posypały, a po krotkiem i daremnem szamotaniu już nieżywą uniosł w gęsty klomb bzów.

Pani Katarzyna załamała ręce, pan Konstanty był do żywego oburzony na powód smutku żony, wspołczuł ze swą połowicą, chłopcy chcieli urządzić pościg za Pajacem i odebrać mu kurę.

Pani Katarzyna była z natury zbyt wymowna, by dłużej milczeć mogła, mówić musiała tem bardziej, gdy serce jej wezbrane stłukło się wśród najprzykrzejszych uczuć, płynęły więc jej słowa:

— Tego już za wiele, raz z nim niech będzie koniec, zastrzelićbym go kazała, gdybym mogła lub samabym do niego zmierzyła gdybym była mężczyzną (pan Konstanty przy tych słowach zamyslił się i widać było na jego twarzy, że się nosi z jakiemiś zamiaremi). Wiesz, drogi Kociu, że doprawdy nie żartuję, powinieneś go zastrzelić no, no, przynieś strzelbę, tylko prędko i nie ociągaj się tak długo.

Pan Konstanty skierował się w stronę ganku.

Ogrodnik, Kaśka, Błażek, chodźcie tutaj, panie Królik proszę na doł, wołała dalej, zwracając się twarzą ku oknu, w którym stałem.

Nie spieszyłem się zejść, nie brałem do serca całego zajścia a nawet przeciwnie, czułem wstręt do niego, w oczach moich nie zmartwienie pani Katarzyny stało, lecz biedny, wychudły Pajac i do obławy gotującej się na niego zupełnie nie miałem zamiaru się zapisywać.

Zbiegłem jednak ze schodow, gdyż trudno mi było pani Grzebskiej odmawiać. W sieni natknąłem się na pana Konstantego, ktory ze strzelbą w ręku wychodził ze swojego pokoju nakładając kapiszony pod kurki. Przed domem zastałem całą służbę zgromadzoną, chłopak kredensowy trzymał w ręku kij od szczotki, ogrodnik długą jakąś tykę, dziewczyna wywijała ścierką, moi uczniowie uzbroili się w zerwane naprędce gałęzie. Wszyscy poruszali się gorączkowo, znać było, że wielka ich myśl zajmuje. Nie starałem się nawet perswadować, bo wiedziałem, że zanadto wszyscy przejęci są ważnością chwili, aby zdecydować się mogli na odstąpienie od zamiaru, ktory ich zajął niezwykle. Człowiek oderwany czemś, co nie codzień mu się przytrafia od swych zajęć, potrafi zatopić siebie całego w mętnej wodzie pospolitego zdarzenia. Zresztą moje słowa przez całe życie nie przekonywały i nie przekonały nikogo, zawsze odsunięty stałem na uboczu, a i teraz także niespostrzeżony nie ruszałem się z ganku.

Pan Konstanty żywy stanowił w porównaniu ze mną kontrast, zrobił się ruchliwy jak rzadko, stanowczy jak nigdy, tylko sapał i pocił się, jak zawsze.

Nawet energia jego dawała widoczne rezultaty, w jednej chwili krzaki, gdzie się skrył na ucztę Pajac zosały otoczone, a o krągłe kształty pana Konstantego zanurzały się zwolna w bujną gęstwinę klombu.

Pani Katarzyna została pod kasztanem, mruczała coś pod nosem, ale na tej długiej i zimnej twarzy malował się wyraz tryumfu, jaki tylko w pojedyńczych momentach życia człowieka rozpromienia rysy jego oblicza. Zajęta cała losem wyprawy, miała wszakże czas mnie spostrzedz.

— Pan tu? — rzekła szorstko z odcieniem wielkiego zdziwienia w głosie.

— Tutaj — odparłem, uważając to słowo za najwłaściwsze do określenia miejsca, w którem stałem.

Nagle w tejże chwili padł strzał, powstał krzyk i wrzawa, rozległo się w powietrzu przeciągłe skowyczenie ugodzonego widocznie psa — zemsta została dokonana.

Biedny Pajac! Żal tak mi się zrobiło prześladowanego stworzenia, żem zaczynał uczuwać w sobie wyrzuty sumienia; czemu go nie broniłem lub nie starałem się odciągnąć pana Grzebskiego od tego zamiaru? Jednocześnie poczułem dziwny wstręt do ludzi, którzy wiernego sługę, liżącego przed chwilą ich ręce, pilnującego dniem i nocą całą domowej zagrody, ich życia i mienia zabili z pośpiechem i zawziętością, zapominali w jednej chwili o prostej wdzięczności lub litości.

Nie patrząc już na to, co się dzieje, usunąłem się w głąb domu, dostałem się do mego pokoju i dopiero z głosem dzwonka wzywającego na obiad, pokazałem się w weselszem towarzytwie państwa Grzebskich. Chcąc nie chcąc dowiedziałem się, że Pajac dostał postrzał w nogę, lecz że pomimo rany na trzech nogach zdołał umknąć przed śmiercią.

Od tego czasu zaniechano rozmowy o całym tym wypadku a Pajac zniknął, jakby na zawsze z Grzeb i nie pokazywał się w nich już nigdy.

Dnie biegły swym trybem. Ranek, który mnie budził nie przyniosł z sobą nic nowego; wplątany byłem ciągle w te same koła zajęć i pracy. Na widnokręgu mego życia nie spostrzegałem żadnych zmian, zapuszczałem się w przyszłość jednostajną, bez barwną, u jej kresu czekała mnie starość, za sobą zostawiałem dobę nadziei i wiary. Wezbraną żalem głowę, opuszałem na młodą i bijącą życiem pierś, chmurzyło mi się w duszy, posępniałem, unikałem ludzi zamknięty w swojej boleści i cierpieniu.

Lecz człowiek umie się wyrwać z objęć wewnętrznych udręczeń. Nie jest w stanie odciąć od siebie za zawsze tych potężnych ramion ciemnego dnia, który już prawie nad jego kolebką się słania, ale w walce z nim zostaje nieraz zwycięzcą. Bez tego tryumfu, wiadomo, życie targałoby się przed czasem jak marniałaby dusza zgnieciona i rozczarowana. Tryumfator i zwycięzca w tym boju umie odbiedz od miejsca ciężkiej walki, umie znaleść cień i spokoj po gorących chwilach życia. Miałem i ja serce szczęścia z palmą ciszy i poezyi ożywczym strumieniem wiary i miłości.

Nie byłem człowiekiem, któryby chciał się w świecie odznaczyć, moje pragnienia były ambicyą tylko zrezygnowanej duszy. Z smutnych drog teraźniejszości wyprowadzała mnie dłoń anioła, który ma białe skrzydła a na imię mu poezya. Nasłuchiwać się ciągle szeptowi jego skrzydeł, marzyć, patrzeć w jego obłoki stało się moim nałogiem.

Gdy serce mi się krwawiło, uciekałem ku niemu, daleko od ziemi, a choć i tam czułem niepokoj w myślach, to lżej mi się zdawało przenosić te cierpienia pod cieniem lotnych jego piór.

Jeżelim kiedy marzył o sławie to tylko o tych wieńcach, które spadają na pamięć poetów i o tych kwiatach, które pielęgnują kochające osoby na ich grobie. Zdaje się, że nieraz znajdowałem się w świecie stworzonym przez siebie samego wsród cierpień. ktore na mnie nigdy nie spadały i dziwnie lubiłem się w nim obracać. chętnie poddawałem się jego roskoszom i boleściom. Wyobrażałem sobie, że niedługo przestąpię kres życia mojego, że umrę młodo, bo serce nie wytrzyma tych wstrząsnień i udręczeń tych fal rozpaczliwych myśli, które w nie uderzają. Przed wczesnym zgonem chciałem wyśpiewać wszystkie zmiany i widzenia, porywy serca i ducha, moją wiarę i smutek wzbudzić, żal i tęsknotę, wycisnąć łzę z ocz, ktore kochałem daremnie na to, by tułać się po samotnym świecie z gorzkim wspomnieniem z nieukojoną duszą.

Tymczasem pod piórem mojem życie inne przybierało barwy zamiast współczucia wywołać mogłem tylko śmiech lub szyderstwo, czułem dobre, że w zapisanych foliałach tylko tyle było ciepła i ognia, wiele dostarczyć mógł sam papier rzucony na rozpalony płomień. Pewnego wieczoru buchający na kominie ogień objął czerwonymi smugami moje żale i zwęglił je na cienki proch. Zostałem niezrozumiany, niewytłumaczony i dziś po latach, gdy to wspomnę, żal jeszcze stare serce burzy i smutno spoglądam po pustym szlaku przebytego życia.

Rok każdy jednak przeżyty wyrzucał mi coś z mych marzeń, oddalał mnie od świata, który koło mnie powstawał śród samotnych myśli oddalenia od ludzi, cichych wiejskich dni i gwiaździstych nocy. «Bywaj mi zdrowy kraju kochany», szeptałem, gdy stając mimowolnie na gruncie rzeczywistości widziałem u mgły rozpryskające się to wszystko, com pokochał i z czem się zżyłem. Inaczej mówi rozum, inaczej uczucie; nie wierzyłem, nie przypuszczałem, on wyszedł zwycięzcą, nie wiedziałem, że głośniejsze są jego słowa, że życie się całe tak składa, by tryumf mu zapewnić.

Żegnałem ukochane wybrzeża, łódź odbiła na pełne morze i do dziś dnia nie zawinąłem do spokojnej przystani.

II.

Miejsce nauczyciela, które miałem przy dzieciach państwa Grzebskich było pierwsze w mym zawodzie. Miałem wowczas lat 20 z górą, jeszcze kwiat mych uczuć się rozwijał, dusza wrzała jakimś niepokojem, był to peryod życia, gdy po ukończeniu zajęć dziennych noce całe spędzałem schylony nad stołem, burzyłem w kałamarzu atrament i zapisywałem stronnice papieru.

W dwa może tygodnie po zajściu z Pajacem, ktore spowodowało, że moj stosunek względem państwa Grzebskich bardzo ostygł, siedziałem nocą w framudze otwartego okna mego pokoju. Noc była dziwnie ciepła jak na jesienną porę, księżyc z ciemnego błękitu oświecał wspaniale drzemiącą naturę, rozpraszał mrok, ktory w miejscach, gdzie nie przedarł się promień srebrzysty rozlewał się tajemniczą ciemnością. Tak jasno było dokoła, że na karteczce, ktorą trzymałem w ręku, kreślić mogłem wzwrotki cisnące się mi na papier. Zapisany arkusz, pamiętam, był zatytułowany: «W przed dzień».

W środku pokoju na stole paliła się świeca, jej światło, chociaż nawet mnie nie dochodziło, drażniło jednak myśl; wstałem od okna i zdmuchnąłem płomień. To mnie jednak nie uspokoiło, chodziłem szybko po pokoju, byłem w dziwnym usposobieniu, gotów gniewać się na siebie i na drugich, sam nie wiedząc, za co i dlaczego. Stłumiony przez ściany doleciał mnie z dołu głos zegaru bijącego poźną jakąś godzinę. Może była już północ. Stanąłem przed oknem. Noc mi się wydała dziwnie cichą i spokojną; w odmierzonej przestrzeni pokoju czułem się skrępowany, było mi w nim ciasno, prawie duszno. Postanowiłem przejść się po ogrodzie i po chwili szeleściały pod moimi nogami zeschłe liście, a z góry oblewały mnie srebrne promienie księżyca.

Nie wiem czyście szukali kiedy ukojenia w księżycowej nocy. O jak cudownie się ona odbija w rozżarzonym od cierpienia oku. Wstępujesz w zaczarowany kraj, któremuś rzadko się przyglądał, w nieznane widoki, ktore otaczają ziemię, gdy ona wraz z tobą zasypia i odpoczywa. Inaczej oddychasz, inaczej myślisz, innym wtedy wpływom podlegasz. Wszystko przybrane w tajemniczy majestat i mimowoli zgadujesz, co on sobą pokrywa. Wyobraźnią go wypełniasz, lecz czasami zdaje ci się, że wśród tej

wspaniałej nocy sam jeden żyjesz i czujesz, za towarzysza masz niespokojną myśl, za przewodnika żałość w piersi. I teraz, gdym przebiegał ulice ogrodu uczucie osamotnienia mnie nie opuszczało, a szelest liści kruszących się pod nogami lekkim wiatrem jedynie głos nocy, odbijały się o mnie smutnem jakiemś echem.

Przeszedłszy kilka razy główną, aleę zboczyłem w wysoki szpaler, u którego szczytu powikłane gałęzie z drżącymi liśćmi przerzucały się z jednej strony na drugą tworząc ciemne i zbite sklepienie. Jutro cię ujrzę... powtarzałem znów sobie. Ach! gdyby jutro; zdawało mi się, że zobaczę ją niedługo, a łudziłem się, że jutro. Kto ona była, jakie nosiła imię nie będe tego mówił, co wam potem. Powiem tylko, że dla mnie była wszystkiem, ziemią i niebem, westchnieniem porannem i wieczorną modlitwą, istnieniem i nadzieją, ucieczką w trudnych chwilach życia.

Pogrążony w myślach, zagłębiałem się coraz dalej w szpaler, mimowoli jednak przystanąłem, gdyż doleciał mnie głośny szmer potrącanych liści. Wśród nocy, każdy odgłos niespodziany, poświst wiatru, silniejsze skrzypnięcie wozu na dalekim trakcie, hałas spadającej gałęzi budzi cię z najgłębszej zadumy. Pasmo mych myśli zostało zerwane; słyszałem tylko, ze ktoś się zbliża ku mnie, natężyłem wzrok i szukać począłem drogi do odwrotu. Lecz ten ktoś był za blisko mnie, abym mógł się przekraść do domu niespostrzeżony. Zaparłem oddech w piersi i oparłem się o najbliższe drzewo, aby z po za niego bezpiecznie przyglądać się dalszemu przebiegowi rzeczy. Jednocześnie wszakże z ruchem, który zrobiłem naprzód, ucichł szelest raptownie. Czekałem, nieporuszając się chwilę jakąś i dopiero po upływie dłuższego czasu doleciał mnie znów podobny głos, tylko powtarzał się powolniej i ciszej. Nareszcie był tak już niedaleko, że jednego brakowało momentu, abym ujrzał skradającego się z taką ostrożnością. Lecz znów jakby dla powiększenia mojego strachu i niepokoju zamilkł na dłużej. Mogłem się wszakże doczekać końca. Cienkie, gdzieniegdzie osrebrzone gałązki, rysujące się delikatną arabeską na tle ciemniejszej gęstwiny krzewów zadrgały nagle od spodu i z pomiędzy nich na twardą drożynę... wyskoczyło jakieś zwierzę.

W pierwszej chwili nie zdałem sobie dobrze sprawy co rzeczywiście mam przed sobą. Zwierzę zrobiło kilka drobnych kroków naprzód, tylko na trzech łapach, czwartą złamaną unosiło przed sobą; było wychudłe i kosmate, przyjrzałem mu się uważniej i w owym stworzeniu poznałem... Pajaca.

Stary przyjaciel domu przychodził odwiedzić miejsce, którego tyle lat pilnował, potrzaskaną nogę niósł przed sobą, jakby pokazać chciał swą krzywdę jedyną nagrodę za przywiązanie i wierność. Poczciwe psisko wyglądało smutnie i nędznie! Zdawało mi się, że widzę przed sobą długie jego włosy, opadłe z mięsa żebra, z wysiłkiem wlokły się po czarnej drożynie, ogon miał podwinięty pod siebie a za każdym krokiem podnosił i spuszczał ku ziemi swój ciemny o dużych uszach łeb.

Nie spodziewałem się go tutaj spotkać i w ogóle powątpiewałem czy żyje nieborak. Myślałem, że ranny z strzaskaną nogą nie potrafi znaleść sobie pożywienia i że gdzieś zmarniał dlatego wśród pustego pola. Nie rozumiałem tylko dokładnie, co przyciągało Pajaca o tej porze do miejsca, z którego starano się go wypędzić na zawsze.

Przyglądając się teraz jak z trudem przesuwał się po ścieżce, nie chcąc go przytem głośniejszym okrzykiem straszyć wyszeptałem prawie mimowolnie... «Pajac!»

Probowałem, czy mój głos nie zatrzyma i nie przyciągnie go ku mnie.

Rzeczywiście, przystanął nagle, lecz zaczął niespokojnie rozglądać się wkoło, wietrzyć, podnosić uszy i raptem rzucił się w krzewy. Musiał w tem ukryciu zatrzymać się, bo nie było słychać poruszenia gałęzi, zapewne nie był pewny, czy usłyszał głos ludzki i teraz oczekiwał na sprawdzenie tego przypuszczenia.

Ale ja nie zdradzałem się najmniejszym ruchem lub szelestem i znów Pajac wynurzył się z zarosli.

Nie spuszczałem z oka jego kroków. Przebiegłszy niewielką przestrzeń skręcił w aleę przecinającą szpaler i następnie ukradkiem podsunął się ku górze, obrośniętej kilkoma drzewami, która się wznosiła tuż koło dworku państwa Grzebskich...

Na tem wzniesieniu stała buda, z której wysuwały się strzępy słomy, przed budą stało koryto podłużne; byłto dawny barłog Pajaca. Tu się zatrzymał i obejrzał się z równą ostrożnością, jak na ścieżce kiedy zcicha wymówiłem jego imię. Zdawało mu się teraz, że nikt go nie śledzi; obleciał w koło swoją budę, obwąchał drzewa, które się nad nią słaniały, w końcu przysiadł na zadnich łapach, wyciągnął szyję ku górze i zawył.

Ten smutny głos powtarzał się ciągle a czasami głuche wycie przypominające uchu stłumiony jęk trwało bez przerwy długie bardzo chwile.

Za dobrych dla Pajaca czasów, gdy wyrok śmierci nad nim jeszcze nie wisiał i kiedy z wielką pewnością siebie kręcił się w około domu, zawsze doznawał odemnie dowodów najżywszej życzliwości. Zdarzało się nawet nieraz, że bawiłem się z nim, rzucając kawałki drzewa przed siebie, które on łapał i przynosił do mnie. Spotkawszy go, głaskałem zawsze i on wtedy lizał mi ręce, wspinał się na tylnie nogi skakał w koło i naszczekiwał z radości. Musiał mnie pamiętać dobrze, byłem tego pewny i przypuszczałem, że gdy przed nim stanę, gdy zawołam głosem, który brzmiał dla niego zawsze przyjaźnie, pozna, podbiegnie ku mnie a ja będę miał satysfakcyą, że go pogłaszczę, biednego psa-bannitę, a może nawet potrafię przywiązać do siebie, a u państwa Grzebskich wyproszę przebaczenie.

Ruszyłem się z miejsca i szedłem w kierunku pagórka. Pajac widocznie był tak pewny, że nikt go nie obserwuje, iż nie zwracał uwagi na hałas moich kroków. Udało mi się podejść bardzo blisko i stałem o kilka staj przed nim, ukryty za drzewam.

Nie wiem czy zwierzęta kiedykolwiek w swojej fizjognomii, mogą nosić wyraz smutku, w każdym jednak razie w tej chwili wydały mi się smutne, świecące przy blasku księżyca oczy Pajaca.

Wyszedłem z ciemności i stanąłem raptem obok niego. Było to dla zbiedzonego psa tak niespodziewane zjawisko, że na razie nie ruszył się nawet ni w tył, ni naprzód a tylko wytrzeszczył na mnie zmęczone oczy i zjeżył na sobie sierć.

Chwilkę jednak tylko trwało to nieme zdziwienie, gdyż wnet pod oczyma zadrgała mu skóra, zmarszczyła się i zarysował się przedemną rząd białych zębów. Nachylił się naprzód i przez moment myślałem, że rzucił się na mnie, nie ruszałem się wszakże i jak umiałem najłagodniej począłem powtarzać: Pajac poczciwy, pajac nie bój się, poczciwy psie.

Wtedy zmienił swoją pozycyę, przestał szczerzyć, zęby usuwał przednie łapy ku tylnim, lecz gdy wyciągnąłem rękę żeby go pogłaskać cisnął się w bok i znikać począł między krzewami i drzewami.

Żeby go nie straszyć, nie wypłoszyć raz na zawsze z okolic, do których jak człowiek do rodzinnego gniazda mimowoli powracał, nie ruszałem się z miejsca, a tylko nawoływałem uchodzącego.

Już mi zginąć miał z oczów, gdy wreszcie zwolnił biegu i przystanął, skręciwszy ku mnie głowę.

Zrobiłem krok naprzód — nie ruszał się; ośmielony tem posuwałem się w jego kierunku i wtedy on nieśmiało zbliżać się począł, lecz nieśmiałość i zdziczenie, jakiemu w osamotnieniu uległ wzięły górę nad ufnością, obrócił się w jednej chwili ku drodze prowadzącej za ogród i teraz na dobre zniknął w jej zakrętach.

Powróciłem do domu niezwłocznie, myśli, które mnie przed chwilą ogarniały całego, pierzchły, pewien rozstrój, który potrzebował ciszy i ukojenia zniknął. Nie zrobiło mi się jednak na duszy weselej, zastanawiałem się teraz z kolei nad poniewierką Pajaca, nad jego prawdziwie smutnym losem, który w dzień zapędzał go gdzieś w ukrycie a nocą kazał mu się tułać i tylko nieśmiało pozwalał mu się podkradać pod ukochany barłog.

Z temi myślami zasnełem.

Dzień następny spędziłem w oczekiwaniu wieczora, a gdy mrok opuścił się ku ziemi, gdy noc zasłała niebo gwiaździstemi szlakami, wyszedłem do ogrodu, wyczekując na pojawienie się nocnego gościa.

Podczas zajęć moich z chłopcami ciągle stojący mi żywo w oczach opuszczony Pajac, stanowił powód roztargnienia; cieszyłem się myślą, że go zobaczę, że go oswoję i przywiążę do siebie; wspomnienie o nim na jeden moment nie opuszczało. Budzącą się wątpliwość, czy go zobaczę, czy dzisiaj znów się wśliźnie do ogrodu, musiałem stłumić i już zupełnie upewniony pod tym względem, rachowałem na wieczorne spotkanie.

Nie odstępowałem od myśli przyswojenia sobie zdziczałego samotnika i na szczęście udało mi się to wtedy zupełnie. Była podobna jak wczoraj ucieczka, niknięcie i ukazywanie się ponowne, aż nakoniec potrafiłem tyle, że dał się pogłaskać, zjadł z mej ręki kawałek chleba, skoczył mi na piersi i zaczął mi lizać ręce.

Od tego wieczoru urządzałem nocne spacery, towarzystwie Pajaca, zapuszczając się z nim w cienie nocy, doznawałem błogiego uczucia, jakie właściwem jest tylko ludziom, co poratowali nędzarza, zaopiekowali się biedą i upadkiem, którzy z więzów wyrwali niesprawiedliwie osądzonego skazańca. Podówczas dla mojego rozmarzonego umysłu i usposobienia potrzebowałem spokoju z życiem realnem, musiałem chwytać się oburącz ogniska mającego zrodło w najszlachetniejszych uczuciach ludzkich, w bezinteresownym przywiązaniu się do opuszczonego i zapomnianego, choćby ten pokrzywdzony był tylko zwierzęciem.

A jeżeli miałem tę moralną pociechę, to obok niej znajdowałem inne, sprowadzające wewnętrzne rozterki, duchowe troski i niepokoj do rownowagi i do uspokojenia. Przyznam się, że nieraz porównywałem dolę moją z losem Pajaca. Obydwaj byliśmy osamotnieni, odsunięci od świata, nędzne robaki ukryte wśród chwastów życia i przeznaczenia.

Ale w dwudziestym i którymś roku człowiek nie jest mizantropem, nie umiałem sie zróść z ciasnemi myślami, wszak miałem jeszcze przed sobą świat, w sercu gorącą miłość. a w sobie nadzieję.

Z przyjacielem moim robiliśmy dalekie przechadzki, on biegł przedemną, wyszukiwał dróżki w polach, przestrzegał przed szelestem kroków błądzącego człowieka, rozumiał każde moje skinienie, ruch twarzy, zgadywać chciał, co myslę i czuję. Gdy byłem smutny i milczący spoglądał na mnie żałośnie, lizał ręce, silił się rozerwać mnie i rozweselić. Było mi na świecie wiele przestroniej i swobodniej, myślą wzlatywałem wysoko, modliłem się do Stwórcy wszystkiemi uczuciami, rozmawiałem z Nim rozmową bez słów, której nikt nie słyszy i nie odgaduje, cichy i samotny na świadka tych modłów miałem jedną tylko drzemiącą spokojnym snem ziemię. Raz mnie zaprowadził Pajac, za którym postępowałem bezwiednie w krzaczysty jar, wyschnięte koryto kiedyś szybkiej rzeki. W gąszczach zatrzymał się i nad bardziej niż inne rozrośniętym krzewem głowę zwiesił. Podszedłem do niego, żeby spojrzeć na to, czemu się tak uważnie przyglądał. Zrazu nie spostrzegłem nic prócz gąszczy, następnie dopiero, ku wielkiemu memu zadziwieniu ujrzałem jamę a dokoła niej porozrzucane kości rozmaitych zwierząt. Było to schronisko Pajaca. Od tego czasu odwiedzałem nieraz dniem samotne gniazdo. Pajac wszakże nigdy nie chciał go opuszczać, nocą tylko czuł się bezpiecznym pod ciemnym niebem; światła równie jak ludzi się obawiał.

Dużo chwil błogich spędziłem wśród tych nocnych wędrówek; myślałem i marzyłem. Ale już kilka tygodni od owej nocy upłynęło. Listopad się zaczynał, zima była za pasem, a z nią głód i mróz zajrzeć miały w oczy Pajacowi.

Chciałem się przekonać czy też w domu panuje wciąż nieprzejednane usposobienie dla mego towarzysza; przypuszczałem, że czas złagodził zawziętość i może używszy całej mojej wymowy, przedstawiwszy w jaskrawych barwach smutne położenie, jakie się lada dzień otworzyć miało przed Pajacem, potrafię wzruszyć państwa Grzebskich i wyjednać przebaczenie. Odważyłem się więc p. Katarzynie wspomnieć, że kiedyś jak mi sią zdaje widziałem gdzieś pod lasem dawnego sługę domu; moje wszakże słowa wywołały tak żywe niezadowolenie, tak przykre wspomnienia obudziłem w duszy pani Grzebskiej, że już więcej rany nie probowałem ich odnawiać. Powietrze tymczasem stawało się wciąż chłodniejsze i pewnej nocy zaziębiłem się tak mocno, że kilka dni z pokoju wychodzić nie mogłem. Wiedziałem jednak, że Pajac jak dawniej co noc przybiegał na wzgórek i na nim zawodził. Tylko teraz wycie jego było tak głośne i przeraźliwe, że parę razy wszystkich w domu obudził. Przypuszczam zawsze, że jęczał tak głośno z tęsknoty za swym nowym panem.

Tymczasem stróż nocny otrzymał rozkaz, aby wyśledził nocnego gościa i pozbawił mieszkańców Grzebia raz na zawsze od przeraźliwego hałasu. Nie domyślano się w owym natręcie Pajaca, inaczej śledzono by go z podwójnym wysiłkiem.

Odbyłem mą lekcyę zwykłym trybem a następnie w południe zszedłem z uczniami na obiad.

Gdyśmy siadali do obiadu spojrzałem przez szyby na daleką drogę, zdawało mi się, że na jej końcu spostrzegłem powóz zaprzągnięty w cztery konie. Ktoś z gości zajeżdżał do Grzebia.

Nie lubiałem próżnych słów nigdy, wiedziałem, że za chwilkę powóz zatrzyma się przed gankiem, nie uważałem więc za potrzebne udzielać nikomu mego spostrzeżenia. Podano zupę; spożywaliśmy ją w milczeniu. Raptem drzwi gwałtownie się uchyliły i w nich stanął z wystraszoną twarzą chłopiec kredensowy. Pamiętam na imię mu było Franek, w mowie jąkał się okropnie i rzadkie były wypadki, kiedy się można było z nim porozumieć.

Fizjonomią zaczął wykrzywiać i głową przytakiwać. A-a..a... jaaśnie aaa paanie aa...

Zaciął się i nie umiał skończyć pokazywał tylko na migi, aby pan dziedzic wziął niezwłocznie strzelbę, gdyż tam w zaroślach coś strasznego takiego i takiego (pokazywał kształty zwierzęcia) siedzi.

Dzieci wyleciały przed dwór, pan Grzebski za nimi ze strzelbą, którą pochwycił z sąsiedniej kancelaryi.

Na dworze Błażkowi rozwinął się język.

Aa, bo Pajac siedzi ode drogi z podwiniętym ogonem.

Krew buchnęła mi do głowy, następnie zimny pot potoczył się po mojem czole. Puściłem się przed wszystkimi najszybciej, jak mogłem; za chwilę miałem być przed Pajacem, zasłonić go sobą wystraszyć w pole.

Lecz on usłyszał wrzawę; widziałem jak przebiegł przez drogę i uciekał ku jarowi.

Przestąpić mu drogę! zakrzyknął pan Grzebski.

Wpadł w zarośla, za nim synowie, Franek służący i dziewka kuchenna. Pędzili do pobocznej furtki parkanu, która prowadziła w pole. Orszak cały zamknąłem ja, przyłączywszy się także do pogoni ale już byłem zupełnie spokojny o los Pajaca.

Wiedziałem, że pomimo strzaskanej nogi uciekł prędko i w tej chwili musiał być już dalej, jak na kilka strzałów. Podążałem

wciąż jednak za wszystkimi. Gdym się zrównał z nieustraszonym oddziałem, doleciał mnie turkot pojazdu; musiał już być bardzo niedaleko dworu. Jakaś dziwna ciekawość naraz mię ogarnęła, interesowała mnie, sam nie wiem dlaczego, kto w karecie siedział, ale myśl ta zaledwie mogła być przelotną, stanęliśmy bowiem przed furtką, a za chwilę już rozglądnęliśmy się po roli, przez którą o jakie tysiąc od nas kroków biegł, utykając, Pajac. Tryumfowałem! Pajac był ocalony; rycerze stali osłupieni, spoglądając przed siebie z zakłopotaniem; pan Grzebski miał się do odwrotu, chrząknął i już zarzucać chciał strzelbę na ramię.

Twarze moich uczniów posmutniały na widok zamierzonego przez ojca odwrotu. Byli porwani wirem wypadku i poddawali się urokowi wyprawy na zdziczałego zwierza.

Ależ tatusiu — mówili błagalnie — my go dogonimy, niech tatuś przynajmniej sprobuje. Tatuś się uprosił, bojowa linija wyruszyła naprzód ku Pajacowi, który teraz uchodził wolnym dosyć biegiem.

Ja wszakże nie ruszyłem się wcale. Pajac był nadto przebiegły, aby dał się podejść a tymczasem przyglądałem się z politowaniem zapałowi i smutnej energii, wypełniającej dusze niezmordowanych myśliwych.

Wszakże złe przeczucie mrozić mię poczęło, odległość między wojującymi a napastowanym zmniejszyła się znacznie. Pajac osłabł widocznie lub rozranił sobie w ucieczce swoją bliznę.

Nie pozostawało mi nic innego jak dogonić kompanią pana Grzebskiego i bronić biednego przyjaciela.

Brnąłem głęboko w czarnej roli zaledwie z wierzchu nieco przymarzniętej, a wydobywszy z piersi cały zapas głosu, wołałem:

Pajac uciekaj! uciekaj!

Zaledwie głos mój doleciał jego uszów, widziałem jak zadrgał i przystanął.

Powtórzyłem mój okrzyk tylko brzmiał on teraz z większą jeszcze siłą i obawą.

Pajac wtedy odwrócił się zupełnie ku nam, rozejrzał się po całej obławie, na jej końcu spostrzegł mnie. Nie namyślał się już co ma robić, bez wachania, bez trwogi puścił się na oślep ku mnie, zapominając, że między nim a mną stała linia ludzi, którzy go w oka mgnieniu pozbawić mogli życia.

Z wysiłkiem wszystkich sił dotykałem ziemi zanim jednak zdołałem dobiedz pana Grzebskiego i chwycić go za rękę padł strzał, a gdy dym opadł zobaczyłem Pajaca rozciągniętego bez ruchu na czarnem polu.

W jednej chwili znalazłem się przy nim i pochyliłem się nad wiernym towarzyszem, biedak już nie żył, łzy mi się w oczach zakręciły i kilka z nich stoczyło się po twarzy.

Obława się oddaliła; zostałem sam na polu i długo wpatrywałem się w stygnący trup Pajaca. Na świat wtedy spojrzałem zbolałem uczuciem i dziwnie mały i nędzny wydał mi się Grzeb i jego mięszkańcy.

Chciałem sam zakopać biedaka, wrócić więc musiałem do domu po łopatę. Gdym wchodził do ogrodu dobiegł mnie hałas niezwykły od ganku; cała rodzina państwa Grzebskich roiła się na nim, a między nimi dwie panie przed chwilą przybyłe. Jedna z nich to była *ona*.

Przyśpieszyłem kroku i stanąłem niespostrzeżony przed gankiem.

Nad wszystkimi dominował głos pana Konstantego.

— Mam od tych kłopotów głowę ot taką (tu roztworzył ręce na całą ich długość) no wprawdzie całe szczęście, że był tam pan Królik, zabawił mnie serdecznie, waryat! wyobraźcie sobie, widziałem, słowo honoru, jak się nachylał nad Pajacem i całował zdechłego psa.

Całe towarzystwo zaśmiało się w głos. *Wszyscy* bez wyjątku. Serce mi się ścisnęło boleśnie.

— On waryat, to fakt, biegał jak kot z pęcherzem, to tu, to tam, zakochał się w psie.

— Lecz ty Kociu, mówiła teraz pani Grzebska, narażasz się zawsze niepotrzebnie; wartoż to było uganiać się za jakimś kundysem; zabawny jednak ten pan Królik, ale, ale dziwiłam się nieraz, że pan nauczyciel chował chleb do kieszeni, nawet czasami po dwa i trzy kawałki, zapewne wynosił go dla *przyjaciela*; zabawni są na świecie ludzie, — powiadasz całował go.

— Słowo honoru, duszko.

Zadźwięczał teraz głosik Jej.

Wytężyłem słuch i patrzałem z ukrycia na *jej* piękną twarz, cudowne oczy i jasne włosy.

— Nic dziwnego, że się tak ściskali — mówiła — wszak psy od najdawniejszych czasów żyły w zgodzie z królikami. Rzecz tak naturalna.

Była to najboleśniejsza chwila, jaką w całym życiu przeszedłem. Postanowiłem zdradzić moje incognito i przynajmniej zmieszać swoją obecnością tych, którzy mnie omawiali i tę, która jednym słowem druzgotała cały gmach mojego szczęścia.

Stanąłem na stopniach ganku i uderzyłem nogą o kamienny schód. Odwrócili się wszyscy, skłoniłem głowę na znak powitania.

Zaledwie się nieco zdziwiono, a następnie goście i państwo Grzebscy przeszli do pokoju; po chwili z za okien dolatywał mnie śmiech i wesołość.

W dni kilka potem opuściłem na zawsze Grzebie.

Dużo czasu od tego zdarzenia ubiegło, nieraz już z tęsknotą spoglądałem przed siebie, błogosławiłem chwilę, która będzie klamrą mojego żywota, z pamięci jednak nie uleciało wspomnienie o dawnym przyjacielu, którego zamordowali *ludzie*.

POTOMNI.

(L'age future).

Zaprzeczyć tej prawdzie wszak byłoby trudno,
Że wiek nasz — to nie jest wiek złoty,
Że życie się wlecze dla wielu dość nudno —
Bez werwy, zapału, ochoty,
Że — pocóż obwijać w bawełnę obłudną?..
Nas nie stać na czyny i cnoty, —
Bo — niech mi darują ten wyraz nietęgi —
Potrosześmy wszyscy — ciemięgi!..
A jednak gdy spojrzym na to pokolenie,
Co, kiedy my, starsi, przeminiem jak cienie,
Do uczty życiowej zasiędzie,
Gdy jego bezstronnie rozważym zalety, —
Toż łatwo nam przyjdzie wnioskować, niestety,
Że przyszłość, — o, lepszą nie będzie!..
Duch ludzki śpi gnuśnie i w śnie obumiera...
Serc ludzkich ciepłota wciąż spada do zera, —
Natomiast zaś pycha wciąż wzrasta...
I będzie źle bardzo... Aż znów nie rozszerzy
Swych wpływów potężnych nad duchem młodzieży
Rozumna i zacna niewiasta!..

My lubim nad wszystko te huczne biesiady,
Gdzie wino strugami się leje,
Gdzie znika bóg smutku ponury i blady
A Momus dowcipny się śmieje...
Gdzie piosnka zaciera zwątpienia i ślady
A śpiewa radosne nadzieje...
My chętnie ucztujem i we dnie i w nocy;
Bo... wszyscyśmy trochę żarłocy!..
Lecz tych, którzy po nas tu miejsca zdobędą,
Gdy kiedyś z kolei do uczty zasiędą, —

Biesiady nie zabrzmią pieśniami!..
Gdy serca otoczy egoizm swym murem
Toż usta, zacięte milczeniem ponurem,
Nie sypną dowcipu iskrami!...
Jeść będą przysmaki w skupieniu i z taktem —
Bo fizyologicznym jedzenie jest aktem,
A jadło — nieprożne ballasty!..
O tak! uczt wesołość wraz z nami zaginie,
Jeżeli na młodzież dzisiejszą nie wpłynie
Czar pięknej, dowcipnej niewiasty!..

My nudzim się wprawdzie od czasu do czasu,
Skrywając starannie ziewanie,
Bo przecież i dzisiaj nie braknie zapasu
Uczonych, co zawsze są w stanie
Struć humor najlepszy, — domieszać tam kwasu,
Gdzie słodycz ma swe panowanie...
My znosim tych panów nudziarstwa, roskosze,
Bo wszyscy, — pozujem potrosze!..
Lecz to, co niekiedy jest naszym udziałem, —
Zjawiskiem się stanie codziennem i stałem,
Gdy my ustąpim ze świata...
Bo ten co się po nas utworzy świat nowy.
Przywdziawszy doktorskie birety na głowy,
Nie uzna i brata za brata,
Gdy ten nie potrafi, drapując się togę,
Podnosić wysoce, co nudą jest srogą,
Jest pleśnią, co wciąż się rozrasta!..
Społeczność ich cała porośnie tą pleśnią
Aż chyba ją zbudzi do życia jak pieśnią
Kapłanka miłości — niewiasta!

My, umiem tak samo jak nasi przodkowie
Przypasać z fantazyą szabelkę...
My umiem poświęcać i życie i zdrowie,
Krwi wylać ostatnią kropelkę...
Zapalać się umiem przy jednem tem słowie:
„Ojczyzna!..“ Bo hasło to wielkie!..
Potrafim my dla niej stać murem — a szczerze,
Bo... wszyscyśmy trochę żołnierze!..
Lecz przyszłych pokoleń szeregi wojenne
Mieć będą i cele i hasła odmienne:
„Cześć sile:“ — to będzie ich godło!..
Na zimno, bo tylko rozkazom posłuszny,
Rzędzie ich nieme, automat bezduszny,
Człek będzie wskakiwać na siodło —
I bić się, gdy każe ta siła i wola,
Co będzie ich trupem uścielać tak pola,
Jak kosarz uściela złe chwasty!..
Rycerzy nie będzie, co godność swą czują, —
O, — bo na rycerzy jedynie pozują
Spojrzenia kochanej niewiasty!..

I my wszak lubimy gdzieś dobyć garść złota—
I wsypać je w wnętrze sakiewki:
Przy dźwięku tym — łatwiej bo idzie robota
I raźniej składają się śpiewki...
Przy dźwięku tym — łacna zabawa, ochota
I milej nam śmieją się dziewki...
I my więc, pojmując, co znaczą dziś grosze,
Jesteśmy... chciwcami potrosze!..
Lecz — za jak maluczkich ujdziemy i skromnych,
Gdy zrównać nas z sobą ktoś zechce z potomnych!..
Pigmeje z nas będą, pigmeje!..
Co dla nas dziś środkiem—to celem ich będzie...
Za złotem pogonią na świata krawędzie,
Gdy im się tam mile zaśmieje!..
I stanie się złoto miłością ich, wiarą,
Nadzieją... ich wszystkiem!.. Co za niem — jest marą,
Przesądem, głupotą — i basta!..
To przyszłość potomnych!.. I innej im niéma,
Jeżeli w tej drodze ich wczas nie powstrzyma
Ideał, co natchnie niewiasta!..

Niewiasta!.. Tak!.. Od niej jedynie zależy
Odmienić horoskop tak czarny!..
Jej jest to zadaniem, by w sercach młodzieży,
Tlił ogień — nie chłód ów cmentarny!..
To ona, gdy zechce, zaszczepi, rozszerzy,
Ideał podniosły — nie marny!..
Jej wpływ jest wszechwładnym!.. I nas to nie dziwi
Nas, którzyśmy wszyscy... kochliwi!..
Lecz, — aby zwycięstwo kobieta odniosła, —
Potrzeba, by z ziemi do której dziś wrosła,
Wzleciała cokolwiek do nieba!..
Czy siostrą, jest żoną, — czy też jest kochanką, —
Niech będzie koniecznie choć trochę Niebianką...
Kobiety-Anioła nam trzeba!..
Niech z wdziękiem swym ziemskim co do niej przykuwa,
Połączy skrzydełka srebrzyste... Niech fruwa,
Niech w ziemię jak kamień, nie wrasta!..
Kochając, niech serca podnosi do góry, —
A wówczas rozpędzi złowieszcze te chmury
I ludzkość uzdrowi — niewiasta!..

Z Beranger'a, **L. Kozłowski.**

KALEJDOSKOP WARSZAWSKI.

(*Korespondencya „Przeglądu liter. art.“*)

Pobielały dachy naszych domostw i jednostajny całun otulił szare kamienie naszych ulic. Po zmiennej, raz mroźnej, to znów dżystej porze zapanował mróz, co, już w baśni mówią, przychodzi z czerwonym nosem. To też i w Warszawie ich nie brak! Nietylko nosy, ale i całe oblicza kochanych mieszkańców i mieszkanek grodu syreniego, w miarę oddalania się od ciepłego domu, nabierają coraz to więcej barwy karminowej. Są i tacy, którym marzną i ręce i nogi, ba! nawet i piersi, pokryte ladajakim łachmanem, pod który zdradziecko wdziera się ostry wicher i hasa po skostniałych członkach. Takich, zaprawdę, więcej może nawet. Warszawa, cel marzeń, nadzieja zysków dla wielu, przyciąga do siebie rok rocznie całe gromady tych, których w przyszłości tak okrutne rozczarowanie spotyka. W lecie, gdy słońce jasno świeci i przygrzewa, ciągną jako tako nędzny żywot, boć i na duszy wtedy weselej, raźniej. bo... cieplej! Ale w zimie, gdy w izbie chłód, ziemia twarda, że i łopatą jej nie poruszysz, żołądek pusty, a na ciele dziurawa opończa — ciężkie to chwile dla tych maluczkich współobywateli miasta...

Dlatego też dobroczynna Warszawa i w tym roku zdaje się nie zamknie swej kiesy i wedle możności rozda chleb i odzież zgłodniałym tłumom. Warszawskie towarzystwo dobroczynności, pragnąc przyjść z pomocą wszędy roztaczającej się nędzy, urządziło miast zwykłego bazaru istny jarmark, czyli t. z. Kiermasz. W tym celu przerobiono naprędce wspaniały cyrk Cinisellego, który został przeznaczony na miejsce odbycia się zabawy.

Prócz mnóstwa sklepów, urządzonych w łożach i stajniach cyrkowych, prócz orkiestry, chóru Towarzystwa muzycznego i chóru p. Danysza, dane będą żywe obrazy. przedstawienia amatorskie i coś w rodzaju pantominy p. t. «Pochód japoński«. Nie potrzeba dodawać, iż tak świetnie zapowiadający się Kiermasz, zwoła przyciągnąć naszą, lubiącą się bawić i ciekawą publiczność a tem samem otrze niejedną łzę i pobudzi do życia niejedno stygnące już ciało...*)

Że nasza publiczność lubi nowość dowodem tego Wystawa Szkiców. Otworzyła ją przed kilkoma tygodniami warszawska kolonja malarska, zaprosiwszy do współudziału kolegów krakowskich i monachijskich. Wystawa utworzona przez artystów dla

*) Kiermasz odbył się w istocie z wielkiem powodzeniem materyalnem, — do 15000 rubli (brutto) przyniósł dochodu (przyp. Red.)

osobistych celów t. j. dla zebrania grosza na gwiazdkę, ściąga od pierwszego dnia tłumy warszawiaków. Są dni, iż trudno się przecisnąć w nieobszernym lokalu wystawy sztuki starożytności pana Bisier, a jak donosi «Kuryer warsz.», którejś niedzieli «Kilka dam cucono»...

Przechodząc do pobieżnego sprawozdania z wystawy, przedewszystkiem pomówić muszę o naszych paniach, które zwartym szeregiem stanęły do współzawodnictwa z płcią brzydką. Nadobne ich rączki rzadko gdzie ujęły ciężkiego, poważnego malarskiego pędzla. Pani Kotarbińska dała całą kolekcyę eleganckich i gustownych talerzyków, notesików, nożyków, wachlarzy i parasolek, na których zręcznie rzuciła najrozmaitsze główki, kwiatki i drzewka, przetkane gdzieniegdzie srebrzystą wodą, lub ożywione różnobarwnym ptaszkiem. Pani Pośnikowa wystawiła piękny ekran i wachlarze, p. Kanigowska, prócz nieco mdłych główek kobiecych i doskonałego Puka w osobie p. Wisnowskiej, w gablocie swej porozrzucała kilkanaście ładnych drobnostek; p. Dukszyńska dała piękne buzie na tle złotem, pp. Gersonówna, Łapińska, Lewenberg, Jackowska, Malinowska, Rudnicka i inne przygotowały na gwiazdkę mile malowane poduszeczki, muszelki, okładki i różne przedmioty galanteryi. Z mężczyzn pp. Fijałkowski, Jasiński i Dowgird także postarali się zaopatrzyć piękne warszawianki błyskotkami na czas karnawałowy. Ten ostatni dał kilka ślicznych piórkowej roboty wachlarzy, które odznaczają się oryginalnością i poezyą w lekko naszkicowanych krajobrazach.

Z prac olejnych rzucają się o oczy prace p. Wyczołkowskiego. Twórca «Maryny» rozwiesił na ścianie wystawy kilka znakomitych szkiców, przedstawiających sceny bądź to z życia wiejskiego, bądź miejskiego. Te dwie panienki, siedzące jedna obok drugiej, naszkicowane są z taką prawdą i brawurą, że jedynie żałować tylko możemy, iż artysta ten tak mało i rzadko utwory swe wystawia na widok publiczny. Pp. Szyndler, Alchimowicz i Gierymski dali kilka kawałków właściwych ich talentom; p. Gerson doskonałe szkice do znanych obrazów «Opłakane apostolstwo» i «Niepokalane poczęcie», p. Lenc dwie charakterystyczne twarze i obrazek: «W winiarni», a p. Sypniewski akwarellowy... «Hołd pruski». Czy artysta, tworząc »Hołd pruski» chciał przekonać wszystkich, że nie posiada ani takiej charakterystyki, ani takiego daru kompozycyjnego, ani takiego pendzla, jak Matejko? Nikt w to nie wątpił.....

Z pejzażyków wystąpili pp. Brochocki, Czajewicz, Zalewski i Wróblewski. Dwaj pierwsi dali kilka prawdziwie uroczych naszych swojskich widoczków. Zwracają też powszechną uwagę prace zmarłego Aleks. Michałowskiego, mało znanego u nas, a za granicą mającego już dawno ustaloną sławę; «Harce» i typy końskie Kossaka i ładne akwarelle p. Ryszkiewicza: «Opuszczony» i «W miasteczku». Krakowskich młodych malarzy spotykamy tu zaledwie kilku. Pp. Popiel, Pawliszak, Stasiak, Strażyński, Bieszczad i Niemczykiewicz przysłał, olejne, nader udatne prace, a p. Kruszewski, jak zwykle, humorystykę. Nasz nieoceniony Kostrzewski coraz to coś nowego zawiesza, znajdując prędko nabywców. Kilka ostatnich szkiców, jak: chłopak zaciągający się «papirusem», pijany wieśniak, niemogący trafić do drzwi swojej chałupy, «Papieros i cygaro» i «Z listem polecającym» — są wyborne.

Z robót ołówkowych, kredkowych i akwarellowych odznaczają się prace pp. Konopackiego, Podbielskiego, Jankowskiego i innych. Na jednej ze ścian, pod małą główką dziecięcą, widnieje napis: Artur Grotger. Jest to jedna z pierwszych prac tego genialnego mistrza ołówka i kredki, którego częściową wystawę mamy ujrzeć niezadługo.

Rzeźby bardzo tu mało. P. Kurzawa dał znakomite terrakotowe sceny, a p. Wojdyga charakterystycznego roznosiciela gazet. Prócz tego zasługują na wzmiankę kilka starannie robionych głów i portretów.

Wiele innych nazwisk należałoby tu jeszcze wymienić, ale ramy luźnego sprawozdania w pospiesznej korespondencyi nie pozwalają na dłuższe rozglądanie się po wystawie. Poprzestaję więc na tem, życząc szczerze, od serca naszym malarzom jak najprędszego zbycia utworów ich pendzla lub ołówka i zaopatrzenia na gwiazdkę nadwątlonej swej może kieszeni. Należy im się to za pracę i za przyjemność, jaką wyświadczyli warszawskiej publiczności.

Serya odczytów na dochód sympatycznej i wciąż rozwijającej się instytucyi Osad rolnych dobiegła końca. Tegoroczne odczyty nie zgromadziły tak licznie publiczności i nie cieszyły się już takiem powodzeniem, jak to bywało przed laty. Czemu to przypisać? Chyba wzmiankowanemu powyżej rozmiłowaniu warszawiaków do rozrywek nowych i nieznanych. Ponieważ odczyty się przejadły i nie należą już do dobrego tonu, przeto uważano za stosowne pominąć je, nie bacząc na to, iż jak prelegenci, tak i ich rozprawy godne były słyszenia.

Pierwsza na katedrze wystąpiła pani Marrenowa. Znana ta i ceniona powieściopisarka mówiła o «Kobiecie w powieści naszej.» Początkową część swego odczytu poświęciła prelegentka Hoffmanowej i jej «Krystynie», jako pierwszej, wolnej od miłostkowego sentymentalizmu bohaterce naszej powieści.

Później, wspomniawszy o Kraszewskim i Korzeniowskim, w utworach których nie widzi prelegentka ani jednej istotnie psychologicznie pojętej postaci kobiecej, przechodzi p. M. do Orzeszkowej. Autorka ta, będąc sama kobietą, poznała do gruntu tę zagadkową zwykle dla mężczyzn naturę i przedstawiła ją w naturalnych barwach, odsłaniając przed czytelnikami całą istotę tego śpiewanego przez wrażliwych poetów-entuzyastów anioła.

Za p. Marrené w «Obronie opuszczonych» (dzieci i kobiety w kopalniach) stawał p. St. Bełza, poczem pięknie i wykwintnie przemawiał do serc słuchaczów adwokat J. M. Kamiński, wstawiając się za niewinnie oskarżonymi i osądzonymi przestępcami (małoletni, narwani, popędliwi). «O środkach upiększających» naukowo, a zarazem dowcipnie wyłożyła dr. Tomaszewicz-Dobrska, zaleciwszy paniom warszawskim używania wody, miast pudru i różu. P. Święcicki opowiadał o «Kobiecie wschodniej», ogołoconej ze swobody i biernie poddającej się mężczyźnie, p. Piotr Jaksa Bykowski zdarł zasłonę z «naszych salonów XVIII wieku», ukrywających pod złotem i blichtrem śmiecie, brudy i moralną zgniliznę, a sympatyczną postać naszego humorysty «Augusta Wilkońskiego, chirurga filozofii i kawalera krzyża naturalnego» odsłonił p. Maryan Gawalewicz. Posiadając przyjazne listy Wilk., pisane do Szabrańskiego, redaktora «Bibl. warsz.», p. G. przedstawił tę zajmującą i nawskróś oryginalną postać prawdziwie, ze sporą dozą dobrego humoru i dowcipu. Wczoraj p. Gawalewicz przemawiał powtórnie «O śpiewaku Wiesława». Wykład ten, zalecający się prostotą i dzielnem scharakteryzowaniem epoki, w której żył Brodziński i tych dróg po których niezadługo stąpać miał wieszcz Adam, a zarazem rozumnym poglądem krytycznym na sielankę pierwszego naszego romantyka, ma być drukowany jako przedmowa w mającem się wkrótce pojawić na półkach księgarskich nowem, illustrowanem przez Kossaka wydaniu «Wiesława». Seryę tegorocznych odczytów zamknął Dr. Konrad Dobrski, mówiąc o «Hygienie nerwów».

Zaledwie jednak kończą się odczyty na dochód osad rolnych, niezwłocznie rozpoczną się takowe w stowarzyszeniu subjektów handlowych. Zgromadzenie to, urządzające już od roku tygodniowe wieczorki muzyczne, postanowiło obecnie wzbogacić także swój umysł i w tym celu zaprosiło kilku prelegentów do

takowej pomocy. Między wieloma prelegentami mających przemawiać z katedry, spotykamy nazwiska takie, jak: J. M. Kamiński, J. J. Boguski, Marrene, Wincenty Korotyński i inni. Jest to chlubą dla stowarzyszenia, iż zdołało sobie zyskać tak dzielnych krzewicieli oświaty.

Ogólna stagnacya, panująca obecnie w dziennikarstwie i brak prenumeratorów, zmusił dzienniki i pisma tygodniowe do przynęcania czytających premjami. Każde niemal z pism warszawskich obowiązuje się obdarzać prenumeratorów prezencikami w formie książek treści naukowej, lub belletrystycznej. «Echo muzyczne i teatralne» daje sześć tomów dzieł Szopena. «Zdaje, się, że za parę lat Wędrowiec będzie musiał rozdawać na gwiazdkę folwarki i kamienice, a Echo muzycne przynajmniej fortepiany» — mówi dowcipnie Prus z jednej z kronik w «Kur. warsz.» Słowa te, choć zabarwione humorem, są jednak prawdziwe.

Wydawnictw gwiazdkowych nie wiele mamy w tym roku, wydawcy, bowiem nań uskarżają się na brak miłośników drukowanej bibuły. Natomiast jeden z nich, naturalnie *minorum gentium*, powziął zamiar wydawania w zeszytach jakichś okrutnych «Tajemnic Warszawy» wstydzącego się znać swego dzieła autora. Wiadomość ta, czerpana z «Kur. warsz.» jest więcej jak smutną, zwłaszcza w czasie obecnym. Piękne za to wydawnictwo przedsięwzięła «Warszawska» spółka nakładowa mieszcząca się przy redakcyi «Prawdy», ogłaszając prenumeratę na kompletne wydanie dzieł najznakomitszego naszego nowelisty, Bolesława Prusa. Dotychczasowy jeden tom nowel nie pozwalał należycie i odrazu ocenić tych rozproszonych po pismach pereł pracowitego i wysoce utalentowanego pisarza.

Redakcya «Przyjaciela dzieci» zamierzyła ułożyć biblioteczkę dla dorastającej młodzieży i pierwszę cegiełkę do tego, cztery powieści historyczne z dziejów dawnej Polski, Rzymu i Grecyi stanowią. Ż. Ż.

OJCIEC STANISŁAW.

przez

Maryana Dimmla.

Pamięć tego męża tli we mnie spokojnym, cichym płomieniem. Wśród gwaru zajęć codziennych nie czuję jej często, ale w nocy, w chwili samotnej sam z sobą, uczuwam całą pełnię tresciwego jej żaru. Promienny obraz jego napawa wówczas mą duszę rzewnym urokiem wiary i szle ją ku wyżynom myśli. I błogo mi wówczas, i rozstać się z jego obrazem nie mogę, i serce mi tchnie wówczas jedną prośbą głęboką: O nieopuszczaj mnie nigdy mężu promienny!....

Są ludzie, których biegu życia nie można nigdy porównać z dniem słonecznym. Niema w nim wiosny nieprzerwanej, niema sutej piękności blasków południa. Chwila szczęścia całkowitego nie darzy ich nigdy swoją pełnią błogą, nie stroi ich nigdy w kwiaty wesela i nie owiewa wonią zachwytów uroczych. Niby po uboczach drogi odbywają pielgrzymkę życia. Widzą wprawdzie jasno drogę przed sobą i widzą światło płynące z jednej z gwiazd błękitu, ale światło to nie przenika do nich przez mgłę zapór rozmaitych i tylko mdłym odblaskiem zimnej, twardej i szorstkiej ziemi kierować się muszą w pochodzie swoim. A to światło od blasku mrozi, utrudnia wędrówkę, ale nie odstrasza idących, gdyż oni czerpią inne światło w własnem wnętrzu swojem, światło ufności w Boga. Zwyciężają zapory i dożywają jutrzenki, chociaż nieraz dopiero u kresu.....

Ojciec Stanisław był kapucynem jednego z naszych klasztorów. Poznałem go przypadkowo, podczas mego w tej okolicy pobytu. Na drożynie wiejskiej spotkałem go raz pierwszy, idącego ze wsi po spełnieniu ostatniej przysługi umierającemu. Gdym go spostrzegł, przeniknął dreszcz całą istotę moją, ale nie ów dreszcz lęku, co nieświadomie coś złego przeczuwać każe, lecz dreszcz ów, co wypływa z jakiegoś mimowolnego pociągu dwojga istot, sobie nieznanych. Krocząc zwolna naprzeciw mnie, nie czynił wcale wrażenia mnicha, lecz raczej męża w całem tego słowa znaczeniu, męża, który wiele przecierpiał i przewalczył ze sobą i nieokreśloną odzierżył potęgę nad sobą samym. Wielkie, ciemne, i głęboko osadzone oczy rzucały wejrzenie tak przenikliwe, iż trudno było wytrzymać je ze spokojem. Zagadnięty, wznosił zwolna powieki, ale skoro je rozwarł całkowicie i utkwił źrenice w mówiącym, opanowywał potęgą i głębią wyrazu całą istotę człowieka. Mówił mało, zwolna, ale co mówił, tchnęło siłą ducha i rzewnym urokiem wyższości. Średniego wzrostu, zbudowany silnie, pochylał zazwyczaj głowę i kroczył z wzrokiem zatopionym w ziemię. Rys każdy jego twarzy był piękny i wymowny, czoło sklepione wysoko, usta pełne życia choć wiecznie zaciśnięte, wyrazem energii drzemiącej. Gdy ktoś przemawiał doń, słuchał nie uchem, lecz okiem, a rozkazy wydawał jednem skinieniem ręki...

Ojciec Stanisław wstąpił do zakonu mając lat 35, a gdym go poznał, liczył już lat około pięćdziesiąt. Szron skroni i zarostu czynił go jednak na pozór o wiele starszym. Obowiązki swoje spełniał sumiennie, z prawdziwem poświęceniem. Udzielał się mało, chociaż znali go wszyscy i radzi byli wdać się z nim w dłuższą rozmowę. O przeszłości jego nikt nic nie umiał powiedzieć — on sam pochował ją w głębinach duszy swojej. A że ta przeszłość zmartwychwstawała czasami i probowała potęgi jego woli, wnosiłem ztąd, iż Ojciec Stanisław miewał dnie, w których skroń swoją pochylał niżej niż zwykle, milczał, a gdy później zwolna oczy otwierał i ruchem stanowczym głowę wznosił w górę..... to czytać można było z tych oczu: Tak! pochowałem znów tę przeszłość zmartwychpowstałą.

Cierpiałem wówczas na jakąś chorobę, której nie umiem nadać stosownego nazwiska. Jakaś dziwna tęsknota opanowała istotę moją, tęsknota za czemś, czego określić nie umiem, za czemś nieznanem, nieopisanem.... Pracowałem wiele, a przedewszystkiem pożerałem chciwie to wszystko, co dziwy i cuda nadzmysłowego świata rozjaśnić się stara. Chaos myśli przeróżnych tłoczył się tłumem w mej głowie, jakieś dziwne zwątpienie sercem mojem targało a dusza moja rozdmlewała się jakiemś niezwykle smutnem i rzewnem uczuciem.

Widywaliśmy się z Ojcem Stanisławem często. On przeczuł swoją przenikliwością duszy, iż coś we mnie się dzieje. Więc rzecze raz do mnie:

— «Siedzisz w księgach zawiele, panie Henryku. To nierozsądnie. Przerwij pan prace swoje na czas jakiś. Uważam, że pan esteś cierpiącym».....

— «Tak», odrzekłem — ale nie w zwykłem znaczeniu słowa. Cieleśnie czuję się zdrów całkowicie. Cierpienie moje jest jakiegoś rodzaju niecielesnego.»

— «A więc serce twe cierpi, panie Henryku?...»

— «Tak, serce. Jakaś tęsknota nieopisana targa niem nieustannie».

— «Tęsknota, czy..... żądza?...»

— «Sam nie wiem, jak to nazwać należy».

— «Pragniesz może sławy imienia twego, panie Henryku?...»

— «Tak, ale to co innego.....»

— «Tęsknisz za swobodą ducha?...»

— «Tak.»

— «Pragniesz współczucia, przyjaźni..... miłości?... Czy tak, panie Henryku?...»

Milczałem, gdyż sam tego świadom nie byłem. Ojciec Sta-

nisław przeszedł się kilka razy po celi, a wreszcie stanął przedemną i spytał:

— «Czy jesteś pan bardzo ambitny, panie Henryku?...»

— «Trudno mi to samemu osądzić?...»

— «Zbadaj się pan. Przenieś się pan myślą na chwilę na stanowisko dające panu godność dostojną lub pole do czynów niepospolitych i doniosłych, potęgę dzierżenia losem drugich lub środki do czynienia dobrego i pięknego dla świata, dla nauki, dla sztuki... i zapytaj się pan wówczas siebie, czy które z tych stanowisk ukoiłoby pańską tęsknotę dzisiejszą i czy odzyskałbyś pan wówczas swobodę ducha, której panu dzisiaj brakuje?...»

— «Uczynię to, Ojcze Stanisławie. Ale wątpię, czy wówczas i serce.....»

— «Serce?.... Więc pan pragniesz współczucia, wzajemności ludzi?... Jeżli tak, to żądasz pan rzeczy trudno dostępnych. Czy sądzisz pan, że świat chce i umie kiedykolwiek być wzajemnym? Popatrz pan na mnie, panie Henryku, a ujrzysz, co życie moje na szerokim świecie serca przyniosło mi w darze: Piętna cierpień i bólów i — nic więcej. Kto iskrę tylko szlachetności w swojem sercu żywi, musi trzymać się zdala od obszernych kół świata — i wrócić do siebie i w siebie. Bo im to więcej myśli i im kto więcej czuje, tem samotniejszym znajdzie się na świecie. Taki los jest udziałem człowieka. W życiu jest górą połowiczność. Gdy wejdziesz pan w życie rozleglejsze, ulegniesz pan, panie Henryku, z pewnością i urokowi wrzekomej przyjaźni i urokowi miłości niebawem. Ale bądź panem siebie. Rozdziel prądy twych uczuć na mnóstwo, wielkie mnóstwo pasm pojedyńczych i darz niemi zwolna, po jednem pasmie, nigdy po więcej, by kiedyś, gdy wrócisz znowu do siebie — a wrocisz z pewnością — znalazło się jeszcze coś w skarbnicy twego serca dla ciebie samego, panie Henryku! Należysz o ile mi się zdaje, do ludzi, którzy niczego połowicznie nie czynią, ani połowicznymi, nie chcą być w życiu. Całą myślą, całem słowem, i sercem całem chciałbyś iść przez życie. Nie sądź jednak, iż wszystko po myśli pójść ci musi. Właśnie dlatego, iż całem jestestwem twojem żyć będziesz chciał, utkniesz i zranisz się na połowiczności drugich. Kto mało stawia — przegrywa mało, ale kto wszysko postawił na kartę, ten przegrał wszystko?!...»

— «Jakto, Ojcze Stanisławie, czyż i miłości prawdziwej nie znajdzie na świecie?!...

— «Miłości?.. Miłości?... Słowo to czaruje jak wiara dzieci w wszechmoc rodziców, ale i to po większej części tylko piękna i najpiękniejsza «fata morgana» życia. Tą miłością, o jakiej pan marzysz, panie Henryku, darzy Bóg tylko rzadkich wybranych.»

— «Wybaczcie Ojcze Stanisławie, śmiałości — zkąd wzięły się Wam tak cierpkie sądy o sercu człowieka?...

— «Zkąd?... Dużoby o tem mówić było..... Już w młodym wieku gorzałem żądzą poznania świata i wyszukania drogi ku prawdziwie wysnutej przeczuciem w marzeniach moich. Czułem się wówczas silnym, iż byłbym poszedł na przekor z Tytany. Poświęcałem się jakiś czas sztukom pięknym a mianowicie jednej z nich — rzeźbiarstwu. Dłutowałem, kułem marmury dźwięczne, aż ręce mi omdlewały ze znużenia, doznawałem pochwał uznania. zaszczytów, ale — ta prawda, jaką w tej wyzwolonej dziedzinie odczuwałem, nie zadowalała mię całkowicie. Szukałem więc w wiedzy, w umiejętności tego, coby zadowolić mnie mogło, ślęczałem nad księgami i poiłem się mądrością drugich, ale własne myśli moje mąciły i plątały mi ciągle dziwnemi pytaniami myśli innych, Poznałem roskosz i smutek życia, miałem chwile dzikiej boleści i jasne chwile nadmiaru uciechy, przeżyłem okres, który poezyą owionął moją istotę i poezyą na jaw wyłaniał się z duszy — ale i wówczas jeszcze duch mój pragnął czegoś, czego ni nazwać ni dopiąć nie umiałem, podobnie jak pan, panie Henryku. Wśród tych burz życia, udało mi się jednak widzieć i słyszeć i czuć niejedno, co zrazu tęskniące serce moje przytłumiało treścią swoją głęboką, kazało mu zapominać o nieznanem dążeniu i koiło balsamem rany dotkliwe. Tego więc tylko szukać począłem i tak wszedłem między nędzę, konania i groby... i zostałem tem, czem jestem. Pociechą, którą rad z serca niosę potrzebnym jej, współczuciem duszy na każdy widok smutków, cierpień i bolów, przygłuszam ten ogień, co jeszcze dotąd we mnie się pali dreszczem wieczności, aż kiedyś spali się całkowicie. Płomieniem — nie wybuchnie on już nigdy na ziemi......

Zamilkł, głowę pochylił na dół, uścisnął rzewnie mą rękę i wyszedł z celi. Czułem, iż ta przeszłość o której mówił przed chwilą zmartwychwstała w nim znowu i znowu próbowała hartu i wystalonej woli potężnego człowieka.....

Niedługo potem opuściłem okolice klasztoru, gdzie Ojciec Stanisław piastował urząd przeora. Nie byłem w kraju lat kilka a gdy po powrocie do wrót klasztornych zapukałem i zapytałem o Ojca Stanisława, odrzekł mi znajomy z dawna braciszek, furtyan klasztoru:

— «Ojciec Stanisław nie należy już do żyjących. Umarł przed dwoma laty. Pozostawił dla pana list napisany na kilka godzin przed śmiercią. Zaraz go tu przyniosę.»

List ten zawierał tylko te słowa:

«Pamięć moja przy Panu, panie Henryku i w chwili ostatniej. Oto moje ostatnie pozdrowienie dla niego:

Idź Pan, panie Henryku, w Tatry lub Alp niebotyczne szczyty i iglice, a gdy staniesz w jednym z tych okręgów wieczystego prawa Bożego, gdzie kwiat nieskażony natrętnym wzrokiem człowieka, jedynie Bogu samemu na chwałę rozkwita, rzuć okiem w dół, gdzie wróbel pośród wróblów i kruków nad nikłym robakiem toczy walkę zażartą, a potem wznieś wzrok Twój w górę, ku owym wyżynom, gdzie orle gniazda zawisły, i — spytaj wówczas sam siebie: Czem należy Ci być na świecie?... czy jednym z wróblów w dolinie?... czy orłem wśród orłów u szczytu??.....

Jam chciał być orłem.......» —

JUDASZ.

(Monsieur Judas).

Pewien pan, poważny wielce,
Schludnie wciąż ubrany,
W białej chodzi kamizelce,
Cedzi wino po kropelce
I jest z tego znany,
Że gardłuje z oburzeniem
Na przewrotny świat,
Gotów cisnąć wnet kamieniem,
Gdyby fałszu choćby cieniem
Splamił mu się brat...
Tak! — rodzony brat!..

Ale — wy, co pełni wzgardy
Dla podłości, — w mowie hardej
Piętnujecie zdradę,
Chytrość, fałsz i dwulicowość,
Powstrzymajcie słów surowość,
Dam wam dobrą radę:
Mówcie ciszej, mówcie ciszej!
Niech ten Kato nie usłyszy
Rozmów w gronie waszem,
Bo, choć mu na ustach cnota,
Jest to nowy Iskaryota —
Zowią go Judaszem!..
O tak, tak — Judaszem!..

Obserwator bardzo pilny
Przywar społeczeństwa,
W sądzie o nich nieomylny,
W moralności wielce silny,
Pełen nabożeństwa, —
Umie jednak liberalny
Ciskać czasem grom...
Postępowiec z niego walny,
Czego dowód namacalny —
Dzieła jego tom...
O tak, — cały tom!..

Ale wy, co w gorącości
Ducha — o prawach wolności
Wciąż toczycie zwadę,
Co głosicie, że narody
Muszą dobić się swobody, —
Dam wam dobrą radę:
Mówcie ciszej, mówcie ciszej!
Niech „liberał“ nie usłyszy
Dysput w gronie waszem, —
Bo jegomość postępowy
Lubi wolnych ptaszków głowy, —
Istnym jest Judaszem!..
O tak, tak, — Judaszem!..

Kiedy stroi się paradnie
W jakieś większe święto, —
Weterana ubiór kładzie...
Pierś — wstążeczką zdobi ładnie
U guzika wpiętą...
Wówczas każdy z czcią głęboką
Wita postać tą...
On — narracyę tnie szeroką
O przeszłości... lśni mu oko
Rozrzewnienia łzą...
Tak, — prawdziwą łzą!..

Lecz wy, co słuchając zucha,
Macie w swej prostocie ducha
Wywnętrzania wadę,
Że pragniecie dla ojczyzny
W każdej chwili odnieść blizny, —
Dam wam dobrą radę:
Bądźcie ciszej, bądźcie ciszej!..
Niech „weteran“ nie usłyszy
Tętna w sercu waszem,
Bo, nim słówko wasze skrzepnie,
On już o was komuś szepnie —
Na to jest Judaszem!..
O tak, tak, — Judaszem!..

Czasem znów w zupełnie innej
Jawi się postaci:
Ex-wygnaniec... tyle winny,
Że brał niegdyś udział czynny
W walkach swych współbraci....
Opowiada — gdzie i kiedy
Bił się i lał krew...
A gdy wspomni kraju biedy
I niewolę, — jakiż wtedy
Z ócz mu tryska gniew!..
Tak, — serdeczny gniew!..

Lecz wy, których serce zacne,
Do ufności zawsze łacne,
Przeoczają zdradę, —
Co jesteście wnet gotowi
Krew swę oddać wygnańcowi, —
Dam wam dobrą radę:
Bądźcie ciszej, bądźcie ciszej!..
Niech „wygnaniec“ nie usłyszy
Jęku w sercu waszem,
Bo szlachetnych serc okrzyki
On wymienia na srebrniki:
Po to jest Judaszem!..
O tak, tak, — Judaszem!..!

Nieskończone ma wybiegi,
Gdy chce dotrzeć jądra....
Mówi: „Wiecie co, kolegi? —
„Baczność! Wszędzie tu są szpiegi —
„O, — policya mądra!..
„Wierzcie, młodzi przyjaciele —
„Bardzo mi was żal..
„Bo — co do mnie powiem śmiele —
„Mnie już — życia dni niewiele...
„Licho mię tam pal!..
„O, tak, — licho pal!..“

Lecz wy, którzy to słuchacie
I już ku drzwiom poglądacie,
Knując rejteradę, —
Zaprzestańcie dysput gwarnych,
Nie rzucajcie zwierzeń marnych, —
Dam wam dobrą radę:
O policyi mówcie ciszej!
Niech „przyjaciel“ nie usłyszy
Trwogi w słowie waszem, —
Bo on, nim go „palnie licho“,
Wprzód was zdenuncyuje cicho —
Przecież jest Judaszem!..
O tak, tak, — Judaszem!..

Z Berangera, **L. Kozłowski**.

Kilka szczegółów z historyi naturalnej ludowej.

Napisał

Karol Mátyás.

(Dokończenie).

Świat martwy.

Są proste głazy, lecz są i skamieniałe postacie ludzkie tj. mocą słowa zaklęte w kamień, „bo za Boga Ojca jak kto zaklął, tak sie zaráz stało.“ (Zawada)

Bujna fantazya ludu, dopatrzywszy się w kształtach pewnej skały lub góry jakiegoś podobieństwa, wysnuła zaraz baśń całą a każda okolica, każda niemal wieś posiada takie baśnie, które ogółem noszą na sobie wspólnej fantazyi i wspólnego moralnego uczucia cechę. Tu stoją dwie martwe siostry, trzymające się za ręce, przeklęte przez matkę chorą, którą zostawiły samą w chatce, udawszy się do karczmy na muzykę; tam widać skamieniały wóz zaprzężony parą koni, a w nim woźnicę, który niegdyś Chrystusowi miał się sprzeciwić i urągać, tam zaklęte zamczysko z szeroką bramą na czele, itd.

„Dáwni to i kamienie rosły, ale, jak Najświętsá Panienka chodziła po świecie i zbiła sobie palic na kamieniu, powiedziała: Zebyście skamieniały! Tak skamieniały i od tego casu juz nie rosną.“ (Zabrzcź pod Łąckiem).

Słyszeć też można u ludu o tz. kamieniach uraźnych, służących za środek leczniczy. Ze wsi Kunowa pod Sączem co rok chodził dawniej jeden chłop do Tatr za ziołami i „kamieniami uraźnymi“, które potem we wsi bardzo dobrze spieniężał.

W górach (Krościenko nad Dunajcem) znają kamienie uraźne, rozróżniając „męzki“ i „kobiécki“ (kobiecy). Czerwonego koloru, różnią się od siebie jedynie twardością. Uraźny kamień starty na proszek piją z mlekiem lub wódką na „zerwisko“ (oberwanie.)

Tłumaczenia zjawisk przyrody, stanu powietrza itp.

Słońce. Trafnie charakteryzuje słońce zagadka: Stoi drzewo na środku wsi, do kàzde chałupy gałązka wisi. S. Z. D.

Grzmot. Rycy wół, na sto gór go słychać. (zag). S.

Piorun. Z czasów ciemnoty, nierozjaśnionej światłem nauki, zdaje sie przechodzi następująca powiastka o piorunie.

„Posed leśny na polowanie do lassa i uźrał takiego pieknego ptàska pod jodłom i tak wyszczeluł do niego i zabiuł go. W tem razie leci taki wielgi chop s takom wielgom szczelbom, taki wielgi jak najwiękså jodła w lessie, a ten leśny sie go przelękł bardzok. Tak mu ten chop podziękówàł: Bóg ci zapłać, ześ go zabiuł, bo już trzy roki za niem chodze a nie moge go podejś nikej. Tak zebyś go schowàł pod tom jodłom w tem miejscu dzieś go zabiuł à za dziewięć dni pódzies w to miejsce pod tę jodłe, to bedzies tu miał piniądze, ale zebyś sie nikomu nie zeznàł, bo jak sie zeznàs, to umrzes. A to bów Pieron. A ten may ptàsek, to bów Latawiec, ten ptàsek, co podcas burzy làtà po telegrafach po lipach i Pieron za niem goni, co go kce zabić. Ano więc posed tam i bràł se stamtąd piniądze, kupiuł se grunt, nakupiuł wołów, bydła, koni — a jego babie bardzo cudno bóło, skąd on te pieniądze pobira, skąd ji skąd? na kazdym miejscu go trapiuła. Tak jednem razem położyli się spać, tak ona go okropnie trapi, ze ona nikomu nie powie, nikomu się nie zaznà, a on ji mówi: Iidź ty głupià dzieby jà ci sie zeznàł, ty nie musjs wiedzieć o tem. A ona koniecnie prosi, prosi, ze nikomu — nie ji nie, tak wykusiła na niem: gdzie i skąd. Tak ji powiedziàł. Ta jak sie ji zeznàł o wszystkiem, tak drugiego dnia nie dozył, umar zaràz. Tak ta baba tyk pinięd̨zy nie dostała, choć kopała pod tom jodłom, sukała — juz przepadło.

Deszcz. Dys uwàlny s. uwał = ulewa. S. Przysłowie powsz.: „Ranny dys a stary baby płac, to jednoś“ (Sosnowice).

Błędne ognie. Te światełka, co po nocy latają, to są niekrzcone dzieci, nazywają się *Nocnice.* Jakby gwiznuł na to, to przyleci do cowieka, choćby jak daleko bóło. Jakby to kciàł chytać, to się umykà.

Inni powiadają, że te światelka, co w nocy latają po lassak ji potokach „to są te mierniki, co pirwy ludziom grunta źle pomierzali a teràz pokótówać musą. Siedzą po górak, po lassak i pokutują.“

Stan powietrza. O powietrzu słotnem: „Ni moze się przegarnąć zawse tak zakamcàrzone (zachmurzone, zaciągnięte chmurami).“ S.

O niebie ołowianem, zaciągniętem chmurami podczas słoty: „Jak sie wygniwà, to bedzie pogoda“. S.

„Pogoda jak oko“. (S.) albo p. jak iskra. (Z.)

„Pogodzi sie na polu“ (wypogadza się). S.

Przepowiednie pogody i słoty.

„Jak mgła ciece na pola, to bedzie pogoda; jak na niebo idzie, to bedzie psota“. S.

„Jak słońce tak zydzie, ze się promienie ozbijają o chmury, to na psote“. S.

„Jak sie na zachodzie słonko cyrwieni, to na drugi dzień bedzie wiatr, bedzie susyć“. Z.

Jak słońce tak zachodzi, jak gdyby się „we wodę kryło“, powiadają, że pewny deszcz na drugi dzień, S.

Jak jest słońce bardzo jarzące przy zachodzie, powiadają, żę bępzie na drugi dzień słota. S.

„Jak na wschodzie słonka są takie chmurki siwe, to bedzie dysc.“ Z.

„Jak się mgli, to bedze pogoda.“ S.

„Jak jaskółki niziućko làtają, to nie bedzie pogoda, jak wysoko, to na pogodę.“ Z.

„Jak jesieniom pająćyna wysoko leci, to bedzie pogoda.“ S.

„Jesieniom z mrozu dys bywà.“ S.

„Jak sie chmury od Wisły ciągną, to bedzle pogoda.“ S.

Jak sie słonecko przy zàchodzie „oglądà,“ to bedzie na drugi dzień dys. (Krakowskie).

Patrz kura, wrona.

Przepowiednie, odnoszące się do pór roku, urodzajów, it.

„Jak po świętem Michale grzmi, to będzie długà jesień“. S.

„Jak na cas grzyby (w lećie, przed św. Piotrem,)to na cas zizma; jak na ostatku („na kopacki“) to zima ku wiośnie jes i wszystko sie zaciągnie.“ Z.

„Jak sie świenty Jàn (24 czerwca) rozpłace, to go jaze świentà Hanna uspokoji (ciągły deszcz od św. Jana do św. Anny). Z.

Jak na św. Piotra i Pawła deszcz, powiadają, że św. Piotr sieje grzyby. Idą zatem w drugi dzień do lasu na grzyby. Z.

„Jak na świentego Jakuba (25 lipca) rano jest niebo pochmurane, to na początku będzie grubà zima, a jak popołdniu, to ku ostatkowi. Z.

„Jak w Boże Narodzenie na niebie jasno, to w stodole ciasno; a jak pochmurno, to w stodole próżno.“ Z.

Tu wreszcie należą niezliczone przepowiednie i praktyki gospodarskie.

Na zakończenie wypada mi wskazać cel, który w kreśleniu powyższego szkicu głównie miałem na oku. Otóż chciałem zwrócić uwagę badających lud pod względem jego wiadomości przyrodniczych, a raczej wyobrażeń z dziedziny przyrody, tak na część opisową onej ludowej umiejętności przyrody, jak na jej stronę zewnętrzną, stylistyczną i językową. I jedna i druga mało albo zupełnie nie znajduje u nich uwzględnienia, a przecież obydwie tak są ciekawe i ważne, że gdyby w badaniach i na nie zwracano bezpośrednią uwagę, możnaby z czasem stworzyć sporą księgę ludowej umiejętności przyrody, która odrębnością swoją, oryginalną barwą, żywem przedstawieniem, dosadnym językiem, niemałe zbudziłaby zajęcie.

KLUB WYGWIZDANYCH AUTORÓW.

SZKIC HUMORYSTYCZNY.

Karola Lamb'a

Jednej, nazawsze dla mnie pamiętnej zimy, formalna epidemia grasowała w teatrze *Drury Lane* w Londynie: wygwizdano dwie pięcioaktowe tragedye, cztery komedye, jednę operę i trzy farsy „excusez du peu“. Wyobraziłem sobie w mojej zarozumiałości, że będę szczęśliwszy od moich kolegów po piórze, napisałem więc cudowny dramat (możecie mi wierzyć, że nie przesadzam), wystawiłem go i — zostałem haniebnie wygwizdany

Wiadomo, że niema apelacyi od wyroków publiczności: autor nie schylający głowy przed tym najwyższym trybunałem, tyleby wygrał, co mizerny urzędniczek, któryby chciał protestować przeciw wyrokowi Izby Lordów.

Pocichu jednak nikt mi nie zabroni utyskiwać na surowość i bezwzględność sędziów, którzy, zaprawiwszy się na dwu tragedyach, czterech komedyach, jednej operze i trzech farsach, rzucili

się jak krwiożercze szakale i na mój nieszczęsny, a daję wam słowo, bardzo piękny dramat.

Odłożywszy na bok wszelką miłość własną autorską, bezstronnie starałem się osądzić sztuki, co znalazły łaskę w oczach kapryśnej publiczności; otóż z ręką na sercu wyznać muszę, że w niczem nie są lepsze od mojej: kto wie, może nawet gorsze. Nie posądzam nikogo o przekupstwo, ani o intrygi, nie obwiniam nawet o stronność; ot, kaprys i nic więcej; publiczność albo się nie poznała na pięknościach mego dramatu, albo poznać nie chciała, co na jedno wychodzi.

Poddaję się jednak wyrokowi, wiedząc z góry, że jest nieodwołalny; przeciwko jednej rzeczy tylko zaprotestować muszę — przeciw formie wyroku.

Wyobraźcie sobie czytelnicy wielką salę napełnioną tłumem, który wrzeszczy, syka, tupie, krzyczy, gwiżdże jak opętany. Możnaby przypuścić, że się ma przed sobą albo zgraję waryatów wypuszczonych ze szpitali, albo niezliczoną gromadę gęsi, albo też rój szatanów, co to straszył św. Antoniego na puszczy.

Powiedzcie sami, czy to nie wstyd, nie hańba tak niegodnie profanować głos ludzki, ten cudowny instrument, dany nam, ażeby miłosnym szeptem wzruszyć serce ukochane, śpiewem czarować tłumy, wymową wstrząsać zgromadzenia?

Długo się zastanawiałem nad tem, skąd powstał ten ohydny zwyczaj, a mianowicie kiedy pierwsza sztuka została wygwizdaną, czy za Rzymian, czy za Greków może? wątpię bowiem, żeby to się stało za Adama i Ewy.

Nie wiem czy byliście kiedy świadkami takiego przedstawienia; jeżeli nie, to żałujcie, straciliście nader ciekawe widowisko. Co do mnie, nigdy nie zapomnę upadku mojej sztuki. Sala zdawała mi się być jaskinią syczących węży, otchłanią piekielną, w której szatani dzikie wyprawiali harce. Przeraźliwe gwizdanie napełniało wszystkie zakątki sali, boleśnie odbijając się w mojem autorskiem sercu; byłem skamieniały, ogłuszony, oszołomiony...

Możnaby się istotnie zapytać, jaką zbrodnię popełnił ten biedny autor, żeby się nad nim pastwić tak niemiłosiernie? Chciał oto, uprzyjemniając wam wieczór, napełnić swoją kieszeń przy tej sposobności; mój Boże, toż to zaledwie grzech powszedni. niezasługujący nigdy na tak ogromną karę. Zbrodniarz pod pręgierzem z pewnością sroższych nie doznaje katuszy, niż nieszczęsny autor wygwizdany przez tłum roznamiętniony.

Dziwię się, że dotąd żaden mądry krytyk nie wpadł na myśl, żeby te męczarnie jaką inną zastąpić pokutą. Możnaby naprzykład ustawić na scenie, w najwidoczniejszem miejscu, drewniane wzniesienie, na którem autor upadłej sztuki byłby wystawiony przez godzinę lub dłużej, stosownie do stopnia winy, na bombardowanie jabłkami, kasztanami i t. p. materyałami. Tym sposobem przestępca zostałby sprawiedliwie ukarany za to, że się nie podobał; publiczność zaś nie zrywałaby sobie piersi okrzykami — wilk byłby syty i koza cała.

Możnaby także naśladować średniowieczny zwyczaj karania tchórzliwych rycerzy łamaniem miecza nad głową i skruszyć pióro nad głową winnego autora, wymuszając na nim przysięgę, że więcej pisać nie będzie.

Wszystko byłoby lepsze niż to straszliwe gwizdanie. Słyszę jeszcze ogłuszające krzyki, piski, sykania, wychodzące z ust tej stugłowej hydry, zwanej publicznością; widzę ten tłum rozogniony z zawziętości ścigający nieszczęsną, bezbronną ofiarę — autora, i pytam się w duchu, co ja zawiniłem każdemu z tych ludzi, że mię tak zaciekle prześladuje? Przecież nie okradłem, nie zabiłem, nie spotwarzałem nikogo, co najwyżej napisałem złą sztukę; sądzę, że to jeszcze jeden z najlżejszych grzechów.

Rzymianie, jak wiadomo, wyrażali swoje niezadowolenie z autorów i aktorów w sposób daleko przyzwoitszy. Topór, krzyż i koło były przeznaczone dla rzeczywistych zbrodniarzy; dla tych zaś co mieli nieszczęście niepodobać się publiczności, wyciągnięty wielki palec ręki stanowił wyrok potępienia. Czy ten zwyczaj klasycznego świata nie dałby się teraz przywrócić?

Trzeba przyznać, że ten gest byłby nader konsekwentny — czem kto zawinił, od tego ginie. Przy pisaniu palec zwykle jest zgięty; otóż publiczność wyciągając go, dawałaby tem samem poznać swoje życzenie, żeby autor nazawsze rzucił pióro. Daleko więcej byłoby sensu w tym ruchu, aniżeli w bezmyślnem, bezrozumem sykaniu; publiczność zaś nie pozbawiłaby się tem bynajmniej prawa sądu nad przedstawianemi sztukami, zmieniłaby tylko tylko formę wydawania wyroków.

Ciężkie obelgi, na jakie nieszczęsny autor jest narażony ze strony kapryśnego tłumu, nadzieja zemsty, nawet nie osładza, bo i na kimże się tu mścić? Trzeba znieść wszystko i schylić głowę w pokorze, powtarzając tylko w duchu życzenie Tyberyusza, żeby cała ta rzesza jednę miała głowę, którąby ściąć można.

Nie sądźcie czasem, żeby ten tłum różnorodny jednakie ożywiały uczucia. Wiele sobie zadałem trudu, żeby chemicznie rozebrać pierwiastki składające go i do następujących przyszedłem wniosków.

Publiczność przeważnie złożona jest z gadzin, między któremi kilka można rozeznać gatunków.

1. *Grzechotniki*, reprezentowane przez hałaśliwą i zarozumiałą zgraję krytyków, którzy uważają sobie za punkt honoru, jak najwięcej błędów wyszukiwać w sztuce. Szumną, górnolotną gadaniną zaciemniają oni zdrowy sąd ludzi nieuczonych, którzy nie ufając własnemu zdaniu, nie śmieją chwalić sztuki tak surowo ocenionej przez kompetentnych (!) sędziów. Grzechotniki są ze wszystkich gadzin najgorsze i najzjadliwsze; uważajcie tylko: one zawsze dają hasło do sykania, pracują gorliwie nad upadkiem sztuki. Posługują się w tym celu straszną bronią, językiem i zębem uzbrojonym w śmiertelne żądło. Szkodliwy ten gatunek należałoby wytępić ze szczętem i to jak najprędzej.

2. *Żmije*; przychodzą zwykle do teatru z góry źle uprzedzone; jeżeli więc pierwszy akt nie odpowiada ich pojęciom o budowie sztuki, głuche już są na piękności następnych. Zaraz po pierwszych scenach wydają wyrok nieodwołalny.

3. *Węże dusiciele* (*Boa constrictor*); w długich artykułach gazeciarskich, pisanych octem i żółcią, rzucają się nazajutrz na nieszczęsną ofiarę, dusząc ją w śmiertelnych uściskach.

4. *Jaszczurki*; mniemani przyjaciele autora, kąsają zwykle milczkiem i ciesząc się z jego niepowodzenia, zapewniają go obłudnie o swojem najgorętszem współczuciu.

5. *Gęsi* vel *barany*; jest to większość publiczności, z natury i ze zwyczaju idąca ślepo za cudzym popędem. Sama nigdy nie zaczyna sykać, lecz skoro grzechotniki dadzą hasło, skutecznie poparte przez i jaszczurki, ona o nic już nie pyta i łącząc swój głos do chóru, z zawziętością rzuca się na swoją ofiarę. Gdyby jej jednak zapytano o powód tej nienawiści, byłaby w wielkim kłopocie jaką dać odpowiedź.

Ale zmęczyłbym i was i siebie, gdybym chciał wyliczyć wszystkie gatunki zwierząt i płazów, składające publiczność naszych teatrów. Odmian jest tysiące, wszystkie jednak posiadają dwie wspólne cechy: tępy umysł i zamiłowanie nizin.

Zważywszy wszystkie te okoliczności, postanowiliśmy założyć klub wygwizdanych autorów; dotychczas jest nas czternastu. W rocznicę upadku naszych sztuk wyprawiamy sobie sutą biesiadę przyjacielską, na której bawimy się wybornie kosztem publiczności. Nasze stowarzyszenie opiera się na następujących zasadach, w które każdy obowiązany jest wierzyć, jak w Ewangelią:

1. Że publiczność, a raczej motłoch, składa się ze ślepych, głuchych, nieczułych, bezrozumnych barbarzyńców; żaden więc

człowiek oświecony nie powinien się ubiegać o łaski tego kapryśnego i niewdzięcznego tłumu. Jedynie chęć wyłudzenia pieniędzy może być uważana za słuszny powód do pracowania dla tych prostaczków, w każdym razie my, ludzie wyżsi, mamy prawo natrząsać się z tej bezmyślnej gawiedzi.

2. Że autorowie nigdy nie powinni stroić się dla niej w płaszczyk pokory i uniżoności; ona bowiem, biorąc to za dobrą monetę, niepotrzebnie wbija się w dumę i zarozumiałość. Oni są jej panami i mistrzami; tak było za czasów Orfeusza, a byłoby i teraz, gdyby nie niecne odstępstwo niektórych zdrajców-autorów, bezczelne schlebiających tłumowi. Wspomnienie Orfeusza przywodzi mi na myśl owe dobre czasy, kiedy to publiczność zachowywała się tak wzorowo, chociaż ją składały bezrozumne stworzeuia, zwierzęta, ptaki, skały, drzewa, nawet węże. Syku i gwizdania nikt wtedy nie słyszał; wiedziały one bowiem, jakie względy należą się autorom. Teraz dzieje się przeciwnie: zdawałoby się nieraz, że każdy kamień nagle ożył, żeby głos swój dołączyć do ogólnego chóru potępienia.

3. Że wyrażenia „szanowni czytelnicy,“ „cni słuchacze“ i t. p., oraz odwoływanie się do światłego ich zdania, powinny być raz na zawsze zniesione; publiczność bowiem naprawdę sobie wyobraża, że jest istotnie powołaną do wydawania ostatecznego sądu o utworach literackich.

Oto są główne zasady naszej ustawy.

W starożytności zabijano Eskulapowi kozła na ofiarę; my zaś, chcąc sobie uprzytomnić pamięć doznanych krzywd i zniewag, bóstwom Sprawiedliwości i Cierpliwości poświęcamy na naszych biesiadach gęś, jako typową przedstawicielkę publiczności.

Do naszego klubu przyjmowani są jedynie autorzy, którzy posiedli koronę męczeńską, to jest zostali na dobre wygwizdani. Jeżeli sztuka upadła dopiero po kilku przedstawieniach, jeżeli z sykaniami mięszały się oklaski, jej twórca niema już prawa zasiadać w gronie wybranych. Gdyby autor raz wygwizdany poważył się znowu próbować szczęścia i naraził się dobrowolnie na drugie męczeństwo, zostanie zaraz wykreślony z listy członków naszego klubu. Być raz wygwizdanym to zasługa, ale dwa razy to hańba. Człowiek co się tak poniża, nie wart mieć takich jak kolegów.

W nadziei, że ogłoszenie tych przepisów zwiększy liczbę kandydatów do naszego klubu, podaję je niniejszem do ogólnej wiadomości.

Jeden z wygwizdanych.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Teodora, *W. Sardou.* **Klara Soleil,** *Goudineta.* **Kwiat z Tlemcenu,** *Merimée.* **Bilecik miłosny,** *Bałuckiego.* **Świetna partya,** *Szeligi.* **Marya Magdalena,** *Hebbla.* **Karyerowicz,** *Blizińskiego.* **Król dziadów,** *Domnika. Debiut.*

Do najśmielszych kroków obrony, jakiemi teatr zasłonić się mógł przed apatyą publiczności, było wystawienie na scenie krakowskiej *Teodory*, Sardou i nie dziwiłbym się jakiemu żartownisiowi, gdyby sezon bieżący krakowskiego teatru nazwał *sezonem eksperymentów*. Jakże bowiem ochrzcić zamiar ten, wobec warunków, w jakich się znajduje personel i zasoby sceny? Jeśli nie nastąpiło *fiasco*, to w połowie zwyciężył ów eksperyment, który mógł się skończyć ośmieszeniem dyrekcyi i wykonawców a tem samem zastąpić „parodyą Teodory“, którą grywają podobno z powodzeniem w Berlinie i Paryżu. Dramat Sardou grano wprawdzie we Francyi nieskończoną ilość razy, ale teatr *Porte St. Martin* rozporządza odmiennemi nieco środkami, publiczność paryska łatwo entuzyazmuje się, iż Teodorę grywa tam... Sarah Bernhardt. Jeźliby więc którykolwiek z wymienionych względów dał się zastąpić lub zmienić, tj. żeby nawet teatr nasz postarał się o zupełnie nowe dekoracye i uzupełnił personel, ta jedna luka stanowiłaby szkopuł, o który rozbić się był powinien *zamiar* grania sztuki Sardou. Skoro jednak p. Hoffmanowa przyjęła na siebie część winy za mogące nastąpić skutki, skoro oszczędne przedsiębiorstwo zgodziło się zaofiarować pewną kwotę na podreperowanie dekoracyj, gotowi byliśmy twierdzić, że będzie to zachętą znaczną dla krakowskiej publiczności. I tak się stało. Na sześciu przedstawieniach był zapełniony teatr, widzowie oklaskiwali sztukę i wykonawców.

Kogo słuszniej?

Jeden z krytyków francuskich powiedział o Wiktorynie Sardou z racyi napisania i wystawienia „Teodory“, iż jest on „poetą pantominy, librecistą baletu, inincyatorem panoramy.“ Nie można słowom tym odmówić słuszności, — „Teodora“ jest w istocie potrosze pantominą, baletem i panoramą, ale z taką maesteryą ułożoną, że niewątpliwie niema dziś pisarza w ojczyźnie najzręczniejszych komedyopisarzy — we Francyi, któryby się odważył z faktów historyi ułożyć taką „panoramę“, na tle prawdziwem opisać tyle nieprawdopodobieństw, postaciom autentycznym tyle fałszu włożyć w usta, a to wszystko ozdobić ruchliwą akcyą, efektownemi scenami, paradnemi kostyumami i Teodorę kazać wskrzesić genialnej aktorce. Sardou odważył się i wygrał w... Paryżu. Jakość zwycięztwa odniesionego w Krakowie dzieli się na dwóch wodzów, z których Sardou jest drugim, — pierwszym przedsiębiorca teatru, dla którego łupem wojennym sześć „pełnych spektakli“ Tryumf redukuje się do zajęcia publiczności bajką sztuki i sceneryą, to już zwycięztwo Sardou. Drugą połowę laurów dzieli p. Sarnecki z częścią trupy teatralnej i pewnie dlatego, że sztuka efektowna wymagała wielkiej reżyserskiej pracy, nieproporcyonalny być musi podział, trzecia część przypada reżyserowi.

Zanim rozdzielimy szczupłą pozostałość, wróćmy do Sardou i jego bizantyjskiej bohaterki. Mimo tła wschodniego i pozoru historycznego złudzenia, podniesionego nazwiskiem, Teodora jest rodowitem dzieckiem ojca-Francuza; w każdem słówku, ruchu, czynie przypomina Paryż; o lwie, który uciekł z klatki, powiada: „gonił za mną“, zabijając Marcellusa tłumaczy się, jak p. Clovis, „obraził mnie“, z mężem miewa sprzeczki, jak wszystkie bohaterki nowszej komedyi, w rozmowie robi *kalembury*, dowcipne i nowożytne. Niezawodnie Sardou umyślnie wybrał sobie za bohaterkę eks-woltyżerkę cyrkową, aby ta przeszłość cesarzowej tłumaczyła ją z wielu rzeczy, które w stylu nowożytnym czyni. Najważniejszym jej czynem w sztuce, jest miłość dla Andreasa, młodzieńca urodziwego i szlachetnego. Ta miłość jest przyczyną zguby obojga kochanków, jest zarazem treścią właściwą sztuki. Cesarzowa poznała swego kochanka w czasie trzęsienia ziemi, zapłonęła do niego uczuciem silnem, dla odwrócenia zaś podejrzeń, ukrywa przed nim godność swą, mieniąc się być wdową Myrtą. Andreas jest członkiem sprzysiężenia, które ma za cel usunięcie z tronu Justyniana, zarazem przyjacielem Marcellusa, współspiskowca. Marcellus wysłany do komnat cesarskich dla wykonania zamachu, zostaje schwytany i przed samem wydaniem na tortury, zabity osobiście przez Teodorę dla niezdradzenia swoich spiskowców, wśród których prowadzi prym kochanek Myrty.—Teodory, Andreas. Spiskowcy sprzysiężeni probują sił swoich w cyrku, gdzie czynią demonstracyę cesarstwu. W tłumie malkonentów znajduje się też Andreas, poznający w cesarzowej własną kochankę. Uniesiony oburzeniem, mszcząc się za śmierć przyjaciela, Andreas znieważa słowem Teodorę i schwytany, ma dać głowę, ale miłość zwycięża, Teodora ułatwia mu ucieczkę, aby później przez fatalną pomyłkę otruć go i dać gardło pod stryczek z rozkazu Justyniana i Sardou przysłany, według historyi bowiem Teodora umarła śmiercią naturalną. Wszystkie postacie są dorysowane do głównego pomysłu Teodory. Ona sama niemal wypełnia całą akcyę sztuki, ona przechodzi fazy miłosne i tragiczne. Rola ta mieści w sobie wszystkie pierwiastki, jakie tylko może odtworzyć najwszechstronniejsza natura aktorki. Monarchini duma w pierwszym akcie, wesoła cyrkówka w drugim, namiętna kochanka w trzecim, energiczna kobieta w czwartym, rzewna Myrta w piątym, zmienia się na pełną poświęcenia w szóstym, zrezygnowaną w siódmym i rozpaczającą kobietę w ósmym, A każda z tych przemian obfituje w niepomierną ilość najdelikatniejszych odcieni uczuć miłosnych, dumy, rozpaczy, gniewu obawy, wstydu i poświęcenia*). Że p. Hoffmanowa takiej nie podołała roli, dziwić się nie można. Ta-

*) W pierwszym nrze przyszłego rocznika *Przeglądu liter.* rozpoczniemy druk *Teodory* w przekładzie p. Zyg. Sarneckiego. (Przyp. Red.)

lent artystki uznajemy w rolach salonowo-konwersacyjnych. Ale na silne porywy, liryzm rzewny, wdzięk podbijający, skala ta nie wystarcza. W granicach środków rozporządzalnych i dzięki długoletniej rutynie, p. Hoffmanowa utrzymała postać tytułową na stopniu, który nie będąc zupełnie zadawalniającym, nie jest szkodliwym dla zrozumienia sztuki. Za to p. Rygier Andrasem był wzorowym, a chociaż w scenach miłosnych był kochankiem szorstkim, to przypuszczamy, że zrobił to umyślnie dla dostrojenia się do kochanki, nie nazbyt miękko cieniującej te sceny. Na wzmiance, iż wykonanie Justyniana jest korzystnym zwrotem w talencie p. Antoniewskiego, można zamknąć to sprawozdanie. Ani bowiem p. Janowski w roli Marcellusa, ani pn. Barszczewska, jako Antonina, ani nawet p. Wolska w roli Tamirys nie wykazali innych przymiotów gry, nad te, które dawno pochlebnie były cenione. „Teodora“ w całym blasku swych przymiotów przedstawi się nam wówczas, kiedy jedyna dziś godna przedstawicielka tej roli, Modrzejewska odtworzy ją w czasie gościnnych występów na naszej scenie.

Osobne uznanie, nagrodzone zresztą przez publiczność, należy się dyrekcyi za staranność wystawienia i za umiejętną reżyseryą, p. Sarneckiemu za dobry przekład, mogący być wzorem poszanowania polszczyzny i nauką dla wielu niepowołanych a jednak wybieranych tłumaczy. Redaktor afisza, zapewne przez pomyłkę, podzielił sztukę Sardou na obrazy o efektownych tytułach. Tylko pomyłce przypisać można tę niestosowność.

To powodzenie „Teodory“ poprzedzone było całym szeregiem zawodów, które, wyznać trzeba, źródło swoje mają w nieodpowiedniej obsadzie. Personel jest nieproporcyonalnie dobrany, kiedy bowiem „niezdecydowanego“ rodzaju po kilka jest sił, niema wybitnych indywidualności aktorskich. Dlatego niewątpliwie *Klara Soleil* Gondineta bezpowrotnie spoczęła w pyle bibliotecznym. Sztuka sama niema wprawdzie cech nowych, oparta na starym temacie małżeńskiego wiarołomstwa, ale mogłaby się podobać, gdyby tytułową rolę powierzono innej aktorce. Panna Koźmin, użyteczna siła repertuarowa nigdy z własnej woli nie stała się przyczyną przegranej, dotąd bowiem odpowiednio zużytkowana w szczupłym zakresie swego *emploi* była pożądanem zjawiskiem na scenie. „Klara Soleil“ przerosła siły młodej artystki; całe otoczenie przejęte niepojętą powagą przy wykonaniu farsy francuzkiej, z góry przeznaczyło na usunięcie z repertuaru tego co gdzieindziej i w innych warunkach mogło się było podobać. Wprawdzie Gondinetowi nie dopisał humor i inwencya autorska i czuć było brak współpracownictwa Barziera, z którym napisał „Trzpiotkę“ jednak „Klara Soleil“ większe ma przymioty akcyi od wielu grywanych błachostek. Podobnyż los spotkał Legouvego ale tu już niesprawiedliwość była większa. Tak renomowanym firmom i tak wdzięcznemu obrazkowi jak „Kwiat z Tlemcenu“ stała się wielka krzywda. Nie należało wystawiać tego pieścidełka scenicznego, skoro teatr nie posiada odpowiedniej aktorki do roli Julii. Pn. Ziembińska, talent młody, za mało ma wyrobienia scenicznego, jej dykcya zanadto przypomina recytowanie prozy w operetce, aby mogła rozwikłać choćby już dyalogowe trudności subtelnej komedyi, nie mówiąc o psychologicznej stronie roli. Wielka szkoda, że oprócz pani Wolskiej, zawsze poprawnej i sumiennej artystki nie podnieśli wykonawcy wartości sztuki p. Leugouvego i Merimé'ego. Francuzcy autorzy z niezwykłym wdziękiem przedstawili tę walkę wewnętrzną, jaka wre w sercu kochającej matki, kiedy dla szczęścia córki wyrzeka się pragnień własnego serca, przywdziewa czepek i przedmiot swej miłości łączy węzłem małżeńskim z córką. Subtelna analiza kobiecych serc w osobach córki i matki przeprowadzona, wytworny dyalog całości sztukę tę stawiają w rzędzie tych małych cacek scenicznych, które pisano nie dla efektu chwilowego, ale trwalszej egzystencyi. „Kwiat z Tlemcenu“ jest ozdobą repertuarów i przysporzył listek zasługi niejednej aktorce — u nas zwiędł.

Jeźli jest jakie przysłowie o złym sąsiedzie, to Bałucki powinien je często powtarzać, przypominając sobie wystawienie „Bilecika miłosnego“. Napisać jednoaktówkę, jakich w polskiem piśmiennictwie dramatycznem niewiele, widzieć jej powodzenie we Lwowie, Warszawie i wielu teatrach amatorskich, mieć w obsadzie Szymanowskiego i widzieć sztukę tylko trzy razy na scenie!.. Trudno jednak; czyja sztuka na afiszu figuruje, wespół z „Kwiatem z Tlemcenu“ tak granym, jak u nas i „Świetną partyę“ ten nie może mieć pretensyi do publiczności, że całego spektaklu nie słucha, a jedynie zadowolniwszy humor „Bilecikiem“ wychodzi z teatru. Gdyby w innem otoczeniu pokazano „drobnostkę“ Bałuckiego, niewątpliwie wielu mężów postąpiłoby według rady autora, tj. jeźliby który z nich dostał „Bilecik miłosny“ wzywający na schadzkę i miał przyjaciela świeżo ze wsi przybyłego, łaknącego miłosnych awanturek, posłałby go w zastępstwie na schadzkę i przekonał się, że całe *rendez-vous* przygotowała kochająca, ale figlarna żona, że przyjaciel dostał od niej szpicrutą po karku, że mu odeszła ochota od donjuańskich wycieczek i że widząc nakoniec szczęście małżonków, pogodzonych po tej sprzeczce, sięga po hymenu pochodnią. Z tak drobnej chmurki na horyzoncie małżeńskiego pożycia, Bałucki stworzył szereg scen, ręką śmiałą napisanych, które bez moralizatorstwa i napuszoności przykuwają widza pogodnym humorem i niekłamaną wesołością. Tak szczery optymizm tchnie z tej drobnostki, ten „bilecik“ ma zapach „miłosny“ ale nie zepsutego buduaru ani wyrafinowanej kokieteryi, ale prostej, serdecznej miłości małżeńskiej. W powodzi sztuk, które naprowadzają na coraz podejrzliwsze rozmyślania o zdradach małżeńskich, komedyjka Bałuckiego jest istotnym odpoczynkiem duchowym, płodem niefrasobliwego humoru, serdeczności, o którą coraz trudniej w życiu i na scenie. W tej drobnostce znać wprawdzie okruszynę, ale znaczną tego talentu, który literaturze naszej tyle przysporzył trwałej wartości prac. Dla ścisłości bibliograficznej notując, że „Bilecik“ drukowany był w zeszłorocznym *Ananasie*, winienem zaznaczyć, że gra wykonawców była prawie bez zarzutu. Szymanowski maleńką rolkę kuzynka wyposarzył właściwym sobie humorem i lubo górował nad resztą grających poprawnością dykcyi, przyznać trzeba, że p. Sułkowska stworzyła bardzo sympatyczną postać żony, p. Janowski był kochającym mężem a pn. Koźmin flluterną i sprytną pokojówką.

Świetna partya, p. Szeligi nie pozbawiona zalet wewnętrznych i zręcznej budowy, tematem bardzo przestarzałym głównie sobie zaszkodziła. Gdyby autorka wynagrodziła ten brak wprowadzeniem figur nowych lub pomysłów, zniklby ten meszek starości, który pokrywa samo założenie — bez tego sztuka pozbawiona była interesu,którego nie dodali mu aktorzy; gra wszystkich nie wychodziła po za miarę pospolitości.

Nie powiodły się też dyrekcyi trzy odmiennej natury eksperymenta; wprowadzenia sztuki poważnej, wprowadzeniu sztuki oryginalnej i melodramatu oryginalnego. Każdorazowy zawód był zarazem dowodem smaku publiczności. Nie podobał się np. w Krakowie dramat Hebbla *Marya Magdalena*. Sztuka to poważna, charaktery kreślone z mistrzowską znajomością serca ludzkiego a jednak już drugie przedstawienie świeciło pustkami. Ponieważ stanowisko Hebbla w literaturze niemieckiej nie pozwala na zbycie jego sztuki krótkim rozbiorem a na dłuższy miejsca nam dziś braknie, wiec obowiązek recenzenta na sprawozdawcę przelewając, ogólnikowo przyznam wykonawcom sumienną pracę a dyrekcyi uznanie za wprowadzenie utworu prawdziwie trwałej wartości.

Wartościową też jest najnowsza sztuka Blizińskiego *Karyerowicz* a lubo jej powodzenie nie doszło do skali pożądanej, jednak wzbudziła zasłużenie zainteresowanie. Osią, około której autor rozsnuł nitki swego kłębka jest kwestya finansowa, zwykły prawie temat nowszej komedyi oryginalnej. W sztuce Blizińskiego dotycze ona sukcesorów zamożnego nieboszczyka, których interesa wzajem kolidują wskutek oryginalnego zapisu zmarłego. Głównym działaczem, motorem całej akcyi jest młody człowiek, ów karyerowicz, który goni za posagiem i, któremu w dopełnieniu zamierzonych projektów staje na przeszkodzie zmiankowany zapis. Figurami wypełniającemi ubogą akcyą są postacie sukcesorów malowane ze zwykłą Blizińskiemu zamaszystością, z trafnem pochwyceniem rysów swojskich. Autor „Pana Damazego“, i „Rozbitków“ w malowaniu charakterów naszych, rywali ma niewielu; zna wady i ułomności naszej szlachty; w sferze ziemiańskiej jest tak swobodny jak Bałucki w mieszczańskiej; każdy typ posiada wyrazistość umiarkowaną bez domieszki szarży, ma w sobie cechy napozór znane, w codziennem ujawniające się życiu, a przez autora po raz pierwszy na scenę wprowadzone. Klasa ludzi średniego umysłu, powierzchownego sądu i dobrego serca ma w Blizińskim niedoścignionego portrecistę. Jeden charakterystyczny rys postać uwidocznia, pozwala odgadnąć, zrozumieć, odczuć. Gdydy jeszcze Bliziński posiadał dar tworzenia t. z. *bajki* i wprowadzał kolejno na scenę więcej osób nad trzy lub cztery, zwyciężałby w zupełności nawet ten rodzaj publiczności, która goni za efektem scen zbiorowych, błyskotliwych dowcipów i ruchliwej akcyi. Nie wszystkie

te wymagania zadawalnia komeyda „Karyerowicz“. Bliziński nie wyposażył jej bynajmniej pomysłowością fabuły, nie okupił jednostajności choćby ruchliwością kilku scen.

Tytułową rolę grał p. Antoniewski, zacierając niewielką ilość rysów wybitnych, jakie posiada ta postać. Wojnowska grała jak zwykle, — z humorem sobie tylko właściwym. P. Siemaszko stworzył plastyczną osobistość ojca, p. Sułkowska była poprawną córką a p. Janowski przyzwoitym amantem. Pn. Ziembińska nie bez starania odegrała młodziutkiego podlotka.

Nowy Rok rozpoczął teatr potwierdzeniem naszego zdania, uporczywie powtarzanego, że wszelkie przeróbki powieści na scenę są niestosowne. Ta krawieczyzna literacka, łatanie dziur kasowych kosztem pracy powieściopisarskiej jestto „najdelikatniej mówiąc“ przyznaniem się do braku własnych pomysłów i przygotowania sobie rozczarowań.

Dlaczego np. p. Domnik, autor „Wigilii Śgo Andrzeja“ zamiast spróbowania sił autorskich w pracy oryginalnej, przerobił *Króla dziadów* z powieści Dzierzkowskiego? Dlaczego dyrekcya zamiast bodaj wznowienia jakiej wartościowej sztuki wystawiła tę pracę dramatyczną? Nie umiemy dać odpowiedzi na te pytania; zupełnie ich bowiem nie tłumaczy sama sztuka, uboga treścią nieodpowiednią dla dramatu. Bez poprzedniego zbadania pożyteczności pracy, p. Domnik podjął się chyba dla wprawy pisarskiej, a jeźli tak jest, to szkoda, że nie własnym posługiwał się pomysłem. I Dzierzkowski i p. Domnik zyskaliby na tem niewątpliwie. Pierwszy na nietykalności swojej powieści, drugi na pracy własnej a nie rzemieślniczej. P. Domnik zdradził w „Wigilii Sgo Andrzeja“ zdolności obserwacyjne, powinien je był korzystniej wyzyskać. Role w *Królu Dziadów* nie dają pola popisu, lecz samem ich płynnem wyrecytowaniem ułatwiają sobie aktorzy wykonanie, u nas, o ile pamięć nie zawodziła niektórych, szło dość gładko; pn. Ziembińska z p. Konopką w pewną dozę poczciwej serdeczności grali kochającą się parę, w której pn. Z. chętniej śpiewała, niż mówiła.

Pan Janowski, lekki amant, w „czarnym charakterze“ był nie na miejscu, a p. Riegier zrobił istotne poświęcenie, grając zaraz po Andreasie — Wyżyńskiego. Przedstawienie to przyniosło nowy nabytek dla naszej sceny, tym razem, zdaje się, użyteczny. Jest nim p. Korsakówna, która z dobrej strony zaprezentowała swe uzdolnienie sceniczne, dykcyę inteligentną i powabną powierzchowność. Nie przesądzając o nierozwiniętych jeszcze siłach p. K., po pierwszej udatnej próbie, zachęcamy do dalszych.

Osobna ocena należy się muzyce p. Wrońskiego, ilustrującej sztukę p. Domnika, tę jednak zostawiamy naszemu muzycznemu sprawozdawcy.

Nemo.

ECHA.

Przysłowie o sześciu kucharkach, które w jednej gotując kuchni, jedzenia nie przysporzyły, niezawodnie znajdzie zastosowanie przy czynnościch komisyi artystycznej, ustanowionej przez władze dla czuwania nad teatrem krakowskim. Pomijając okoliczność, że taka komisya przeważnie z niekompetentnych wybrana kulą u nogi być może, albo wytworzyć musi cały szereg nieporozumień natury prywatnej, które pod hasłem: „dla dobra publicznego“ najfatalniej oddziaływać mogą na zadrdzewiały mechanizm teatralnej maszyneryi. A przecież tak łatwo można było znaleść w Krakowie ludzi, którym z prawa i z urzędu należy sąd o teatrze. Pp. Asnyk, Bałucki, Bełcikowski, Tarnowski, sami się nasuwają każdemu bezstronnie na rzecz patrzącemu.

* * *

Wychodzi we Lwowie pisemko przeznaczone dla duchownych p. t. „Wiadomości Kościelne“. Przynosi ono bezwątpienia pożytek swoim czytelnikom i jest potrzebne — byłoby jednak daleko pożyteczniejszem, gdyby służyło tylko kościołowi, a nie interesom prywatnym.

W pisemku tem, którego drobne ramy nie wystarczają do należytego wyczerpania obfitego zakresu spraw kościoła, znajdujemy obszerny jak na nie artykuł (koło 80 wierszy petitowych), poświęcony napaści na kalendarz humorystyczny „Ananas“. Przekręcając ze złą wolą znaczenie wierszyka „Gdybym był biskupem“, autor napaści rzuca się na „Ananasa“, jako na szerzyciela niemoralności, nie cofa się przed osobistemi wycieczkami, porusza nawet groby zmarłych, aby jadem i złością bluzgnąć na wydawcę kalendarza. Dziwna ta „wiadomość kościelna“, zbyt tchnie żółcią i nienawiścią, aby w autorze jej przypuszczać można kapłana. Ton taki nie przystoi słudze Bożemu a tylko „parszywej owcy.“

„Owca“ ta swoją drogą lubuje się w niemoralnościach Ananasa, czego dowodem, że przeczytała go od deski do deski, chwali się nawet dokładną znajomości zeszłego rocznika, jednem słowem z zamiłowaniem go studyuje, znajduje w nim przyjemną rozrywkę, a jednak napada na niego brutalnie, rzuca błotem, jak pierwszy lepszy pismak rewolwerowy. Oj! nie „miłość chrześciańska“ kieruje jej piórem, nie obraza zagrożonej moralności, ale interes własny. Wszyscy wydawcy kalendarzów galicyjskich oburzają się na Aananasa, a raczej na tysiące jego odbiorców. Ale mają więcej taktu, więcej poczucia własnej godności, — żaden podobną bronią nie walczy.

Gdybyśmy przejrzeli pisma najlepszych katolickich pisarzy naszych, co pióra swe poświęcili w znacznej części chwale Bożej, a nawet pisma literackie wielu biskupów i to z czasów niedawnych — znaleźlibyśmy tam takie wybryki wesołego humoru, że przy nich wierszyk jeden lub drugi „Ananasa“ wyglądałby niewinnie, jak młoda panienka przy starym donżuanie. Zresztą tłumaczyć się nie potrzebujemy, bo niema przed kim — a radzimy tylko „Wiadomościom Kościelnym“, aby parszywym owcom posłuchu nie dawały.

* * *

Konkurs Wojciecha Bogusławskiego.

W dniu 31-ym grudnia upłynął ostateczny termin nadsyłania prac scenicznych, przeznaczonych na konkurs.

Do tej daty otrzymał komitet ogółem 64-y utwory, których tytuły wraz z godłami podajemy poniżej:

1. **Albert, wójt krakowski**, dramat w 5-iu aktach, 10-iu obrazach. Godło: „Lecz krzyżackiego gadu nie ugłaszcze nikt...,.“ 2. **Ataulf**, dramat w 5-iu aktach. Godło: „Fracti bello fatisque repulsi“. 3. **Baronowa**, dramat w 4-ch aktach. (Bez godla). 4. **Bezsilni**, dramat w 3-ch aktach. Godło: „Porro“. 5. **Bogusławski i jego scena**, widowisko w 5-ciu aktach. Godło:

„Krzywdzące głos ojczysty mniemania umorzył,
Pisał, grał i grających na czas późny stworzył.“

6. **Bolesław Smiały**, tragedya w 5-iu aktach, wierszem. 7. **Coraz niżej**, dramat w 5-iu aktach. Godło:

„Śmiała się zemnie w duchu, choć dam ci przestrogę,
Nie kochaj się ty nigdy w człowieku cnotliwym,
Bo to jest miłość długa i głupia i żywym
Nieprzystoi — lecz musi być wreszcie wyśmiana.“

8. **Córka lichwiarza**, dramat współczesny, w 5-iu aktach. Godło: „Promień światła“. 9. **Czartowska skała**, komedya w 5-iu aktach. Godło: „Miłość jest piękną bezwątpienia rzeczą“. 10. **Donna Rozanda**, przez Ż., dramat historyczny w 5-iu aktach. Godło: „Bo człek Boże igrzysko.“ 11. **Duch ojców**. dramat w 5-ciu aktach. (Bez godła). 12. **200.000** czyli **cyrulik i prezydentówna**, komedya w 3-ch aktach. Godło: „Wstydźcie się tego, czego się wstydzić nie potrzeba, aby nie przyszedł czas, gdzie się nie będziecie wstydzić tego, czego się wstydzić potrzeba.“ 13. **Dwie sieroty**, komedya w 4-ch aktach. Godło: „Pax tecum“. 14. **Dyplomacya kobieca**, komedya w 4ch aktach. (Bez godła). 15. **Dzieci wieku**, dramat w 4-ch aktach wierszem nierymowanym. Godło: „Młodości, ty nad poziomy...“

16. **Dziewica z pod dziewiczego monasteru**, dramat w 5-ciu aktach, wierszem. Godło:

„Wie gross war diese Welt gestaltet
So lang die Knospe sie noch barg,
Wie wenig ach hat sie entfaltet
Dies wenige wie klein wie karg.“

17. **Eugenia**, dramat w 6-iu aktach. Godło: „To pamiątka rozstania, mego życia godło.“ 18. **Hrabia Strumyk ze Strumyków**, komedya w 4-ch aktach, wierszem. Godło: „Może a morze.“ 19. **Jagiełło i Kiejstut**, dramat historyczny w 5 iu aktach (bez godła). 20. **Jerzy**, komedya w 5-iu aktach. Godło: „I. D. D. Z.“

21. **Jeszczeście do nas nie dorosły**, komedya w 4-ch aktach (bez godła). 22. **Karyery**, sztuka w 3-ch aktach. Godło:
„The lime is out of joint: Ocurset spite
That ever I wan born to set it right.“
23. **Kasztelan Zakroczymski**, dramat w 5-iu aktach. Godło: „Si vis me flere dolendum est primum ipsi tibi.“ 24. **Kobieta lekarz**, dramat w 5-iu aktach, a w 6-iu odsłonach. Godło:
„A gdyby nawet chęć chybiła celu“
Nie będę pierwszy ni ostatni z wielu.
25. **Król Syonu**, tragedya w 5-ciu aktach (bez godła). 26. **Kto niema pieniędzy, ten niema honoru**, dramat w 3-ch aktach. Godło:
„Bo miłość ludzi, to ołtarz duszy
Jednoczy pałac z chatą nędzarza,
Nędzę podniesie i dumę skruszy, —
Mądry kto szuka tego ołtarza.“
27. **Laszko**, dramat w 5-iu aktach. Godło:
„Kto nie zaznał goryczy ni razu
Nie zazna słodyczy w niebie.“
28. **Larnik**, dramat w 5-iu aktach. Godło: „Który wiele cierpiał w duszy.“ 29. **Leonia**, sztuka w 5-iu aktach. Godło:
„Za kilka kropel szczęścia, ludzie światu płacą
Całem morzem łez.“
30. **Lili**, dramat w 4-ch aktach. Godło: „Mizantrop.“ 31. **Minowski**, komedya w 4-ch aktach. Godło: „Vitam impendere vero.“ 32. **Mojżesz**, dramat w 5-iu aktach z prologiem. Godło: „Był silny i zwyciężył“. 33. **My się kochamy**, komedya w 5-iu aktach. Godło: „Inspicere tamquam in speculum in vitas omnium Jubeo.“
34. **Napierski**, dramat historyczny w 5-iu aktach. Godło: „Salus patriae lex suprema.“ 35. **Nemezis**, dramat w 5-iu aktach, 8-iu obrazach z prologiem, wierszem (bez godła). 36. **Neron**, dramat historyczny w 2-ch częściach, I-sza Agrypina młodsza, w 5-iu aktach z prologiem. Godło: „Transierunt omnia tanquam umbra.“ 37. **Nieporozumienia**, komedya w 5-iu aktach. Godło: „In theatris labor morum discere, turpia audire inhonesta nefas est. (Cicero).“ 38. **Nie wytrwał**, komedya w 4-ch aktach. Godło.
„Biada poecie, jeżeli od ucha
W słowo ubiera prostą szorstkość ducha“.
39. **Niobe**, utwór dramatyczny w 3-ch aktach. Godło: „Spieszcie się.“ 40. **Oblubienica Wikinga**, dramat w 5-iu aktach wierszem. Godło: „Biberstein.“ **Obsaczony**, komedya w 5-iu aktach. Godło:
„..... a pierwsze role dam panom
Najgorsze! smętną uderzeni stalą,
Bez żadnej rzymskiej gracyi, z nóg się walą.“
42. **Ofiara**, dramat w 5-iu aktach. Godło: „Przez walkę do życia“, 43. **Po latach dziesięciu**, dramat w 3-ch aktach. Godło: „Silną jest miłość, jak śmierć sama.“ 44. **Potępieni**, dramat na tle historycznym w 3-ch aktach, wierszem. Godło:
„Zbawienie przyjdzie, gdy lepsi i szczersi
Poznawszy błędy, uderzą się w piersi“.
45. **Przebojem**, dramat w 5-iu aktach. Godło: „Ex antiqua urbe“.
46. **Przeniewierca**, dramat w 5-iu aktach, wierszem. Godło:
„A gdy sława na mnie zawoła:
Wstań, jesteś wielkim!
Nie podniosę czoła,
Aż zrzucę z siebie te żywota trądy
Aż zmażę grzechy i zwalczę przesądy.“
47. **Przewrócone głowy**, dramat w 4-ch aktach. Godło:
Co człowieka wzbogaca —
Wiara rozum i praca.“
48. **Rokoszanie**, dramat w 5-iu aktach, wierszem. Godło.
„Bilde Küustler-rede nicht
Nur ein Hauch sei den Gedicht,“
49. **Ruiny**, Komedya w 3-ch aktach (bez godła). 50. **Selim**, tragedya w 4-ch aktach, wierszem. Godło: „Władysław.“ 51. **Stare i nowe prądy**, komedya w 4-ch aktach. Godło: „Selph.“ 52. **Sulami**, tragedya w 5-iu aktach, wierszem. Godło: „Lepiej iść do domu żałoby, niż iść do domu biesiady, przeto iż tam widzimy koniec każdego człowieka, a żyjący składa to do serca. Lepszy jest smętek, niżeli śmiech, bo przez smętek twarzy naprawia się serce“. 54. **Swarliwi**, komedya w 4-ch aktach, wierszem. Godło. „Wykażcie nam nasze błędy jasno, to bezsprzecznie się ich ustrzeżemy.“ 55. **Świętopełk Okajany**, dramat historyczny w 5-iu aktach, z epilogiem, wierszem nierymowym. Godło:
„Marna to praca, bo czas tylko skraca,
A nie poruszy — ani jednej duszy.“
56. **Syn wieku**, dramat w 5-iu aktach, wierszem. Godło: „545“. 57. **Tylko ludzie**, dramat w 4-ch aktach. Godło: „Ave Caesar morituri te salutant.“ 58. **U wód**, komedya w 4-ch aktach, wierszem. Godło: „Prawda“. 59. **Walka**, dramat w 2 ch aktach, z czasów Bohdana Chmielnickiego, wierszem. Godło: „Adela Konieczna“. 60. **Wicek i Wacek**, komedya w 4-ch aktach, przez *** (bez godła). 61. **Wojdyłło, czyli niewolnik księciem**, tragedya w 5-iu aktach, wierszem. Godło:
„Zamierzchła Litwo! z grobów twoich cieni
Zbudzone widmo swą grozą ponurą.
Która i trupie oblicze zrumieni,
Z twemi kapłany, z twoją Łysą-Górą,
Niech dziś stanąwszy przed oczy twych dzieci,
Twym pogrobowym ogniem mogił świeci.“
62. **Za cudze winy**, komedya w 3-ch aktach. Godło: „Jutro.“ 63. **Zagrodów**, dramat ludowy w 4-ch aktach, ze śpiewkami, przez Giaura. Godło: „Czem chata bogata, tem rada.“ 65 **Zaślepieni**, komedya w 4-ch aktach. Godło: „Mea culpa“.

Prócz wymienionych otrzymał komitet w dniu 31 grudnia cztery awizacye pocztowe na sztuki, których dotychczas odebrać nie był w możności; z tego powodu tytułów nie podaje.

Żadne więcej prace przyjęte już nie będą.

* * *

W chwili oddania numeru niniejszego na prasę, Redakcya nasza otrzymała od p. Zygmunta Sarneckiego list z prośbą o opublikowanie jego treści. List zawiera krótką wzmiankę o ustąpieniu p. Sarneckiego z posady artystycznego kierownika sceny krakowskiej, nie wyjaśniając powodów, któreby powyższe ustąpienie motywowały.

Nie mieszając się w zakulisową stronę tego faktu, wyznajemy, że jakkolwiek krótka działalność ustępującego kierownika nie mogła wydać jeszcze owoców, to jednak sumienność jej ujawniła się w wielu razach przy układaniu repertuaru oryginalnego i dobrej woli przy wprowadzeniu sztuk poważnych, że wreszcie teatr krakowski, przez kraj subwencyonowany, nie może pozostać bez kierownika, którego nazwisko nie byłoby moralną gwarancyą dla ogółu — przedsiębiorca jej dać nie może, bez udziału firmy poważanie i zaufanie mającej.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Wiktor Gomulicki **Obrazki prawdziwe.** *Warszawa 1885.*

(*W. P.*) W powodzi wydawnictw powieściowych jakiemi nas obdarzył rok bieżący, „Obrazki prawdziwe“, p. Gomulickiego stanowczo się wyróżniają. Autor, znany dotąd przeważnie ze swych utworów poetycznych, okazał się tu w całem słowa znaczeniu wytwornym nowelistą. Każdy z „obrazków“ stanowi całość artystycznie pomyślaną i wykończoną, a cały ten niewielki zbiorek wystarcza, aby autorowi zapewnić wybitne miejsce w rzędzie polskich nowelistów.

Ale przypatrzmy się zbliska tym obrazkom. Szereg ich rozpoczyna „Coelio“. Jestto imię artysty, którego życia koleje autor maluje. Coelio to postać dziwnie wyjątkowa, jaką nie często w biegu życia powszedniego spotkać można. Artysta obdarzony z jednej strony wielką prostotą ducha, z drugiej niepospolitemi zdolnościami i duszą poetyczną, idąc za wrodzonym popędem do piękna i sztuki, targa swe siły w bezowocnych zapasach z troską o chleb codzienny dla siebie i matki staruszki. Na domiar złego Coelio spotyka na swej drodze Lorkę, śpiewaczkę ogródkową, kobietę z półświatka, a miłość ta, przyprawiając go o ruinę materyalną, oddaje na pastwę wyzyskiwaczy. Na polecenie dyrektora teatrzyku, Coelio dla zarobku pisze dzieło sceniczne. Skupienie ducha, energia i otucha dodają mu sił. Wrodzony talent dopisał, a dzieło zyskało niebywałe powodzenie. Coelio bezwiednie stworzył arcydzieło, imię jego stało się głośnem. Dyrektor zamawia drugie. Celio powodowany żądzą sławy i pieniędzy, stwarza głupstwo, które wygwizdane przez publiczność, przyprawia go o rozpacz i śmierć.

Drugi obrazek „Sen pani Maciejowej“ kreśli marzenia 80-letniej przekupki, wśród których staruszka oddana reminiscencyom przeszłości — zamarza. Artystyczne obrobienie tej nowelki stawia ją w zbiorku na pierwszem miejscu.

Obrazek „Panna Hortensya“ opowiada poprawę starej panny, która z rozgrymaszonej i zrządnej rezydentki staje się pracowitą i użyteczną.

W obrazku „Swój do swego“ brudna i z ulicy wzięta Mańka, otoczona przez hrabiego zbytkiem i przepychem idąc za popędem serca, wraca napowrót do gminu, przekładając szturchańce pijanego Janka nad pieszczoty swego protektora.

„Marysia“ przedstawia dzieje dziewczyny, która przyszedłszy na zgryzotę rodziców i współlokatorów na świat w suterenie, popychana i wyzyskiwana, dochodzi wreszcie do stanowiska pokojówki. W tem stadyum życia ma wyjść za mąż, wskutek ospy jednak zeszpecona, zostaje porzuconą przez kochanka i zwraca się na drogę dewocyi. Przysłowie „w starym piecu“ sprawdza się na Maryannie już jako poważnej i zasobnej kucharce, za swe niewczesne nadzieje matrymonialnie — pokładane w młodym szewcu, zostaje przez tegoż na punkcie pieniędzy własnych „wykierowaną“, co ją o śmierć ze zmartwienia przyprawia. Dzieje to wiernie z natury zdjęte.

W oryginalnym obrazku p. t. „Garść kwiatów“ opisuje autor „spleen“ pewnego młodego człowieka. Na pogrążonego w myślach o samobójstwie, powziętych zresztą bez żadnej głębszej racyi, jedynie w celu uczynienia na przekór sobie samemu, rzuca wesoła kuzynka Zosia garść kwiatów. Fakt ten wpływa na zmianę postanowienia ze strony rozgoryczony. Małżeństwo z Zosią ulecza go stanowczo ze spleenu.

„Nicefor“ to typ uzdolnionego próżniaka-artysty, który posiadając dostateczne środki do przyzwoitego używania życia, oddaje się tylko uwielbianiu sztuki. Pies jego odpowiada zupełnie usposobieniu swego paną. Spotkanie z Waleryą wpływa na zmianę przekonań Nicefora, podobnież i pies zmienia tryb życia pod wpływem miłość do suczki Saby. Nicefor rzuca się gorączkowo do pracy — nie przywykły jednak do niej, wskutek nadmiaru pracy, umiera. Obrazek ten ślicznie wykończony dziwną wyróżnia się oryginalnością.

„Pierwszy śnieg“ „Próba w cyrku“ i „Pocałunek“ dopełniają tomiku „Obrazków“, które autor nazwał „prawdziwemi“, i słusznie, wszystkie tętnią życiową prawdą.

Potoczysty i poetyczny styl, siła obrazowania i nieporównany wdzięk opowiadania, nadają utworom p. Gomulickiego niepospolitą wartość. Żal doprawdy rozstawać się z książką.

Zygmunt Sarnecki: **„Złote serce“**. *Lwów 1885.*

(L. J.) Niejednokrotnie już przedstawiany charakter człowieka zawsze dobrego i szlachetnego bez granic, znalazł w p. Sarneckim nowego, odmiennego od poprzedników, malarza. Bohaterem jego powieści jest Stanisław Mowelski, okazujący od najmłodszych lat złote, wszystkich i wszystko, kochające serce. Przywieziony przez ojca z Paryża do Polski, gdzie się urodził, czeka na wsi u ciotki Weroniki, aż ojciec wyjedna przebaczenie u dziadka za małżeństwo, zawarte bez jego woli i błogosławieństwa. Dwa lata blisko cierpi maleńki Staś, bo ciotka, uważająca go za dziecko nieprawe, za hańbę familii, nie szczędzi mu przykrości. Jedyną jego przyjemnością w tym czasie było poznanie ślicznej Jani, córki warszawskiego mecenasa, której obraz został mu na wieki w duszy. Jego poczciwość i dobroć, jednają mu przyjaciół między ludem, temu też tylko zawdzięcza uratowanie życia z pożaru. Wzywa go wreszcie ojcie do Warszawy i tu, u krewnej swej p. Ireny Bolewskiej poczyna się zaniedbany dotychczas chłopiec rozwijać umysłowo, tu też po raz pierwszy okazuje talent do rysunków. Niedługo to jednak trwało; ojciec, otrzymawszy posadę, sprowadził do kraju żonę i zabrał do siebie Stasia, Przy boku rodziców powinno było opuszczone przedtem dziecko zaznać miłości i szczęścia, nie stało się tak jednak, bo ojciec ambitny, samolubny, nie znalazłszy w zmienionej latami żonie, ukochanej niegdyś, uroczej Amelii, wywierał swoją złość na niej i na synu. Nieustanna ta wojna domowa trwała tak długo, aż wplątany w spisek polityczny został zesłany a matka z rozpaczy umarła, Staś został sam bez środków do życia, bez rady i pomocy. Zginąłby też z pewnością, gdyby jego talent malarski nie zaczął być produkcyjnym. Od pracy, od grona kolegów i znajomych powołano go służby wojskowej. Otrzymana nagle wieść o chorobie niezapomnianej Jani, znajdującej się podówczas w Krakowie, a nadto przykrość, wyrządzona mu przez żołnierzy, skłania go do ucieczki z wojska. Niebezpiecznie chory przybywa do Krakowa gdzie znów u p. Bolewskiej znajduje opiekę i spokój. Ona to z Janią pielęgnuje go w chorobie, ona też pierwsza donosi mu, że nieubłagany przedtem dziadek wskutek interwencyi Jani zapisał mu milionowy majątek. Bogaty teraz Stanisław postanawia podróżować po Europie dla studyów, a z powrotem zaślubić Janię, do czego oprócz miłości skłaniała go i wdzięczność. W Paryżu jednak pod wpływem czarodziejskiej Emmy Stewart zapomina o węzłach łączących go z nią, ale szał mija prędko i Stanisław wróciwszy do kraju poślubia wreszcie tę, o której od dzieciństwa marzył. Choć szczęście uzyskał, niejedna go jeszcze czekała próba. Więc naprzód nawiedziła go bieda, ogromny majątek stracił, czyniąc dobrze drugim, potem źli ludzie stawali mu w drodze, a on z nimi musiał walczyć, bo prawie zawsze najlepsze jego chęci tłumaczono sobie na opak, krytyka wreszcie chłostała niemiłosiernie jego obrazy. Na raz horyzont się rozjaśnia, największy jego nieprzyjaciel umiera, Stanisław zostaje profesorem w szkole sztuk pięknych i razem z ojcem, który wrócił z północy, spędza w spokoju i szczęściu resztę życia

Taką jest treść powieści p. Sarneckiego. Charakter głównej osoby przeprowadzony jest konsekwentnie; w latach dziecinnych, młodości i w wieku dojrzałym złote serce zostaje niezmienione, szlachetnieje tylko i nabiera sił, a kiedy doszło mezkiej dojrzałości, stało się rzeczywiście zupełnie dobrem. W życiu Stanisława dwa kroki przedewszystkiem odznaczają się stanowczością i silną wolą, jakiej złote serce, z natury pozbawione tych przymiotów, nie posiada, sprzeczność tę jednak tłumaczą motywy, skłaniające go do nich, których nagromadzenie jest właśnie z tego powodu wyborne. Trudno przypuścić, aby np. groza rot aresztanckich, na jakie narażała go psota przez żołnierzy wyrządzaną zdołała go skłonić do ucieczki, gdy jednak do tego przyłączyła się obawa o zdrowie Jani, nie namyślał się już ani chwilę i zamiar przyprowadził do skutku. Podobnie urok Emmy był za wielkim, a jego wola za słabą, aby się wyrwać z pod niego, to też obecność Jani, ratującej go z tych sieci i choroba jest doskonałą zasłoną tego słabego charakteru, bo usuwa potrzebę walki wewnętrznej, której z pewnością nie wyszedłby zwycięzko. To też uwydatnienie pobudek psychologicznych jest wielką zaletą tej powieści. Jedną jeszcze rzecz wypada nam podnieść w tym rozbiorze. Jeżeli uznamy, a to jest niewątpliwem, że czyn przedsięwzięty bez planu, bez woli, jedynie przez instynkt w życie wprowadzony, niema wartości moralnej, to trudno spodziewać się, aby ktoś, co tylko takie czyny na swoją ochronę przytoczyć może, zasługiwał na nagrodę. Wskutek tego złote serca kończą zwykle nieszczęśliwie, ale Stanisława ratuje to, że pracował, że miał przecież dosyć siły i cierpliwości, aby się nie zrażać niepowodzeniami, lecz w walce z ludźmi i z losem wytrwać do końca. A więc, jeżeli szczęście zawitało wreszcie w progi jego domu, to nie za to, że miał słabe nerwy, czyli złote serce, lecz w nagrodę za pracę i trudy.

Mniej szczęśliwie, a raczej mniej wyraźnie rysuje autor samolubów, jako naturalne przeciwieństwo do głównej osoby. Mamy ich zresztą dużo, prawie wszystkich, co w tej powieści występują, bo przecież Stanisław musi być wyjątkiem z natury rzeczy. Z początku są to jego rówieśnicy, dzieci warszawskiego bruku, dobrzy, kiedy chodzi o pożyczenie pieniędzy, ale usuwający się zawsze, gdy mają jaką za to przysługę wyświadczyć, później występują daleko silniejsze duchy, a mianowicie, Franciszek, brat żony Stanisława i Urban, zacięty wróg naszego malarza. Zachodzi jednak znaczna różnica między nimi; podczas gdy Franciszek jest egoistą, ale człowiekiem uczciwym i honorowym, Urban jest nikczemnikiem, nie przebierającym nigdy w środkach. Pierwszy popełnia niesprawiedliwości, ale je naprawia, drugi nie żałuje nigdy podłego czynu, który spełnił, owszem dąży do niego z całą świadomością.

O innych osobach tej powieści chyba tyle powiedzieć można, że je znamy już od dawna. Nie nową jest dla nas ciotka Weronika, trzymająca cały dom w ryzach, nie nowym jej mąż, poczciwy ale głupi, Kubuś; bankier Goldenkranz nie pomnaża bynajmniej galeryi typów Don Jouana, wreszcie hrabiego Jerzego widzieliśmy, już dawno gdzieindziej. Osoby te jednak służą do zapełnienia sceny i ożywiają akcyą, która, jak zawsze u pana Sarneckiego, jest umiejętnie przeprowadzoną.

Kończąc ten krótki rys najnowszego utworu, znanego powieściopisarza, podnieść jeszcze raz musimy, że główną zaletą jego jest psychologiczne przedstawienie rozwoju charakteru, tak powszechnego u nas. Na tle wsi lub studenckiego życia, w wirze stolicy świata, to znów w cichej pracowni przy boku kochanej żony, widnieje jeden i ten sam człowiek, taki słaby sercem, a jednak taki mocny i silny przeciw pokusom i dlatego niezmienny. Przedstawienie jego złych stron, wskazanie drogi, na jakiej znaleść może szczęście, podanie za cel pracy jako jedynego źródła, z którego płynąć mogą nieograniczone niczem dobrodziejstwa dla bliźnich,..... oto zadanie „Złotego serca“.

Dr. Piotr Chmielowski. Autorki XIX. wieku. *Studyum literacko-obyczajowe.* (*Warszawa 1885.*).

Faktem jest niezbitym że wierny i prawdziwy obraz literatury powstać może jedynie na podstawie wyczerpujących monografij literackich. Całokształt dziejów literatury, zanim zarówno w całości jak w poszczególnych epokach i okresach, zostanie należycie objęty i przedstawiony, wymaga nieustannych badań, które jedynie w odniesieniu do współczesnego dziejowego i cywilizacyjnego rozwoju społeczeństw i na tle tegoż prowadzone, mogą posłużyć do wiernego odtworzenia obrazu piśmiennictwa i literatury i takowe w prawdziwem ukazać świetle.

Dzieło Dra Piotra Chmielowskiego, reprezentuje ten pozytywny kierunek badań, podjętych na tle współczesnych stosunków. Zasługę autora zwiększa ta okoliczność, że za przedmiot swych studyów obrał sobie nie mniej ważną, po macoszemu jednak dotąd traktowaną działalność literacką naszych kobiet-autorek. Jakkolwiek nazwiska, osobistości oraz literackie stanowisko najwybitniejszych naszych koryfeuszek literatury, których wizerunki znajdujemy skreślone, znane nam są w ogólnych zarysach, to jednak dopiero książka Chmielowskiego odsłania nam w całości ich działalność, znaczenie i wpływ na współczesny rozwój naszego piśmiennictwa. Nacisk okoliczności zewnętrznych, zwłaszcza po wypadkach 1831. r. gdzie wielu utalentowanych ludzi kraj opuścić musiało, oddał w ręce kobiet pracę nad literaturą i dozwolił im wyrobić sobie w piśmiennictwie ważne stanowisko.

Literatura nasza nie miała dotąd książki, którąby traktowała o autorkach polskich. Luźne próby i urywki, pobieżne monografie, wzmianki tu i ówdzie po czasopismach zamieszczane, nie wyczerpujące ani w części działalności poszczególnych autorek,—oto cały materyał jaki się przedstawiał badaczowi tego przedmiotu. Dzieło Chmielowskiego usuwa dotkliwy ten brak.

W ośmiu monografiach składających seryę pierwszą „Autorek polskich" znajdujemy wierny obraz życia i działalności najgłośniejszych przedstawicielek literackich, oraz stosunek zachodzący między działalnością autorek a rozwojem życia społecznego i dążnościami współczesnie ujawnianemi.

Autor zaznacza trzy fazy, jakie kwestya kobieca u nas przechodziła. Najprzód miała ona charakter przeważnie pedagogiczny, dążący do zgłębienia i rozszerzenia edukacyi niewieściej, następnie przybrała odcień towarzyski i prawny, żądający większej swobody jako dla panny a większej opieki społecznej jako dla żony (emancypantki i entuzyastki), wreszcie charakter ekonomiczny, łączący dawniejsze cechy a stawiający żądanie szerszego zakresu pracy dla kobiet, celem umożliwienia im bytu samoistnego. Uporządkowawszy chronologicznym porządkiem autorki i w tem zestawieniu uwidoczniwszy charakter działalności literackiej każdej z osobna, przedstawia autor ów stopniowy rozwój i postęp kwestyi kobiecej. Począwszy od skromnej i bezpretensyonalnej księżnej Maryi Wirtemberskiej a skończywszy na rzutkiej działalności entuzyastek, stawiających śmiałe, często zbyt może wygórowane żądania, oraz społecznej działalności Ziemięckiej i Felińskiej, przeprowadza nas autor przez całą tę arenę z apasów myśli kobiecej z współczesnemi kierunkami i zapatrywaniami.

Wielce to zajmujący ustęp w dziejach naszej literatury, którego cała doniosłość dopiero na podstawie dzieła Chmielowskiego, należycie ocenić się daje.

Szereg autorek rozpoczyna Marya, księżna Wirtemberska, autorka „Malwiny". W barwnym szkicu zawierającym życiorys pierwszej powieściopisarki, wprowadza nas autor w ówczesny świat literacki, zapoznaje z otoczeniem w jakiem żyła i kierunkami, którym ulegała, i na tem tle spółczesnem odtwarza sylwetkę sympatycznej ze wszech miar twórczyni pierwszej polskiej oryginalnej powieści. „Malwinę" poddaje autor szczegółowemu rozbiorowi.

Zaznaczywszy z góry, że sielankowość, rycerskość i sentymentalność, były wykładnikami, współczesnej literatury, idącej na ślepo za wzorami francuskiemi, znajduje zupełnie naturalnem, że „Malwina" pojawiając się wśród takiego usposobienia, „musiała z konieczności wchłonąć w siebie pierwiastki tego, co już mijać zaczęło." Nie mniej za zupełnie naturalny uważa autor sielankowy koloryt powieści, zaznacza jednak, że zaakcentowane silniej w kilku miejscach uwielbienie dla czasów rycerskich, można uważać za zapowiedź pierwszych brzasków kierunku romantycznego. Charakterystyka kilku wiejskich powiastek zamieszczonych przy „Pielgrzymie z Dobromila", któremi księżna Wirtemberska dała pierwszą inicyatywę pisania książek do czytania dla ludu, zakończa obraz działalności autorki „Malwiny."

Drugie miejsce zajmuje popularna autorka „Pamiątki po dobrej matce." Postać Klementyny Tańskiej zarysowana na tle stosunków współczesnych ukazuje się w należytem oświetleniu. Pedagogiczną działalność Tańskiej poprzedza dokładny obraz stanu wychowania kobiet za czasów Księztwa Warszawskiego, który będąc owocem gruntownych studyów, dotąd mało podejmowanych, wyjaśnia wiele kwestyj dotyczących sprawy ówczesnego wychowania publicznego i stanowi ważny materyał dla badacza tych stosunków. Przeszedłszy i scharakteryzowawszy poszczególnie wszystkie ważniejsze dzieła Hoffmanowej i oceniwszy należycie jej zasługi na polu dydaktyki i wychowania, podaje autor ogólny obraz działalności autorki, skreślony na podstawie idei przewodnich w jej dziełach zawartych, oraz zasadnicze tejże przekonania. „Jak utylitaryzm jest cechą pedagogicznych zasad Hoffmanowej, tak eudemonizm oparty na cnocie łatwej i miłej stanowi charakterystykę jej przekonań etycznych". Idea miłości ojczyzny i religijności ujawnia się w całej jej autorskiej działalności; z tem wszystkiem jednak dla umysłów lubiących się zagłębiać we wszystkie stosunki świata, dla „namiętności rwących się do dzieła i pragnących działać" etyka Hoffmanowej musi się wydawać „mdłą i niewystarczającą" a jedynie dla dusz „średniej miary" odpowiednią i zastosowaną.

Trzecie z kolei miejsce zajmuje Elżbieta z Krasińskich Jaraczewska. Wychowana na wzorach francuskich, choć w późniejszem życiu zapoznała się z płodami poezyi romantycznej, żywi niewygasłą cześć dla klasycyzmu francuskiego. Idąc śladem księżnej Wirtemberskiej zwraca się do powieści. Utwory jej acz nie nacechowane większym talentem, zdradzają jednak postęp. Charakterystyczną stroną jej sposobu pisania jest opowiadanie, we wszystkich powieściach widoczną jest łatwość kompozycyi; temata u niej swojskie, czułostkowości znacznie mniej, bohaterowie noszą na sobie piętno wieku, napotykane wreszcie tu i ówdzie początki analizy psychicznej stanowczo potwierdzają zdanie, że Jaraczewska działalnością swą stoi na przełomie pojęć w dziedzinie naszego powieściopisarstwa. Nie małą zasługę społeczną Jaraczewskiej stanowi też rzucenie myśli o „samoistności" kobiet. Podczas gdy Hoffmanowa głosiła bierność powołania niewiast, Jaraczewska pierwsza wypowiada nader ważną w rozwoju stanowiska kobiet zasadę „samoistnienia" a wygłoszenie tej zasady zapewnia jej wcale poważne stanowisko w społecznej epoce.

W rozdziale czwartym, zatytułowanym „Entuzyastki" wprowadza nas autor w okres dziejów literatury po r. 1831, w którym młodsza generacya kobiet, wykształcona już cokolwiek na wzorach poezyi romantycznej, a wykarmiona ideami demokratycznemi i postępowemi, które zwolna napływały z emigracyi, postanowiła wystąpić śmiało i sprawę kobiecą raźniej pchnąć naprzód drogą postępu. Grono „entuzyastek," których program obejmował miłość ojczyzny, lud wiejski i prawa kobiety, a wszystko to oparte na zasadach demokratycznych i postępowych, postanawia działać i pisać wspólnie. Pierwszy ich organ „Pierwiosnek" skupia około siebie zastęp ówczesnych kobiet literatek. Wciągu lat sześciu na kartach „Pierwosnka" przesunęło się 53 nazwisk kobiecych. Gorące zrazu zajęcie się „Pierwiosnkiem" wkrótce jednak osłabło. Wybitniejszym entuzyastkom żądnym „wiedzy i prawdy" uczucia organ zamieszczający coraz częściej rzeczy bezbarwne nie mógł wystarczyć. Za inicyatywą Żmichowskiej zawiązuje się właściwe kółko „entuzyastek", których organem staje się poważny „Przegląd naukowy." Najwybitniejszym z pomiędzy tego grona entuzyastek Zofii Mielęckiej, Emilii Gosselin, Faustynie Mokrzyckiej i Bibiannie Moraczewskiej poświęca autor osobne ustępy, mające służyć do uzupełnienia obrazu działalności ruchliwego kółka.

Głównej przedstawicielce „entuzyastek.", Narcyzie Żmichowskiej poświęca autor obszerne studyum krytyczne najstaranniej ze wszystkich opracowane. Postać „Gabryeli", zarysowana na tle współczesnych stosunków widnieje tu wyraziście a działalność jej literacka przedstawiona w duchu metody filozoficznej Taine'a na tle organicznego związku indywidualności autorki z otoczeniem, ukazuje się jako wynik wszystkich prądów i kierunków działających współcześnie i stanowi wierne odbicie danej chwili w umysłowem życiu kobiet naszych, w którem tak wybitną rolę odegrała autorka „Poganki".

Sylwetka mało znanej Julii Wojkowskiej jest dopełnieniem obrazu działalności entuzyastek. Charakteryzuje tę autorkę, odwaga z jaką ośmieliła się w ówczesnych stosunkach rzucić społeczeństu swe jaskrawo sformułowane poglądy na sprawę ludu i inne kwestye społeczne. Trafnością myśli i trzeźwością sądów wyróżnia się Wojkowska w ówczesnem gronie, które to przymioty znamionujące w każdym razie głęboki umysł, zapewniają jej imię w literaturze.

Siódmy z rzędu rozdział obejmuje zarys działalności Eleonory Ziemięckiej, pierwszej kobiety, która się głębszym naukowym studyom poświęciła i która pierwsza wytrzymała natarcie opinii na objawy tego kierunku działalności niewieściej. Fakt podjęcia pracy naukowej i to na najmniej umysłowości kobiet odpowiedniem polu badań filozoficznych, stanowi też główną zasługę Ziemięckiej, która kobietę nietylko „córką

ziemi lecz i ducha wieku“ widzieć chciała. Rzeczą jest zupełnie naturalną, że gdy w ogóle wykształcenie nasze filozoficzne w biegu XIX. stulecia ulegało nieustannie szybkim i nagłym zmianom, gdy panujące współcześnie systemy filozoficzne ulegały ciągłym fluktuacyom, na słabym umyśle kobiecym przemiany te piętno zostawić musiały. Ziemięcka kilkakrotnie zmieniała kierunek swych przekonań, ale zmiany te zawarunkowane okolicznościami wśród których się wykształciła i wpływami, którym ulegać musiała, z naszego stanowiska, muszą być usprawiedliwione. Prace jej aczkolwiek nie zaznaczyły się żadnym oryginalnym pomysłem, samą donioslością faktu zajmowania się tak abstrakcyjną w ówczesnych pojęciach nauką, jaką była filozofia, jako pionierce tego kierunku działalności kobiecej zapewniają należne stanowisko na kartach literatury.

Szereg autorek starszego pokolenia zamyka Ewa Felińska. Działalność jej niewielkie przedstawia pole dla uwag krytycznych. Stanowisko jakie zajęła w rzędzie autorek zawdzięcza głównie swym powieściom i myślom o potrzebie uregulowania stosunków społecznych, która w owym czasie była kwestyą palącą, a którą poruszyła w swych „Wspomnieniach z podróży „do Syberyi“ oraz „Pamiętnikach“.

Rozstając się z książką, rzućmy raz jeszcze okiem na całość. Mało rzeczywiście mamy w literaturze dzieł, któreby przedmiot traktowało tak wszechstronnie i wyczerpująco, któreby tyle gromadziło materyału, któreby wreszcie z objektywnem przedstawniem łączyło w tak wysokim stopniu barwność opowiadania i potoczystość stylu, jak książka Chmielowskiego. Mimo, iż na każdym kroku spotkać się tu można z prawdziwie niemiecką ścisłością naukową, dzieło obejmujące 541 stron od pierwszej do ostatniej kartki, czyta się z największem zajęciem. Drobne niedokładności jakieby może tu i owdzie napotkać można np. brak szczegółowej bibliografii pism omawianych autorek, wreszcie małe niedokładności w szczegółach życiorysów, oto wszystko coby krytyka podnieść mogła.

Wobec zaniedbanych u nas w ostatnim czasie badań historycznoliterackich, cenną publikacyę prof. Chmielowskiego, będącą owocem kilkoletnich i mozolnych studyów, a bez której żaden z historyków literatury dzisiaj obejść się nie będzie mógł, witamy jako objaw wielce pożądany, który niewątpliwie pobudzi wskazaną metodą, młode siły do pracy nad dziejami ojczystej literatury. *Wł. P.*

ROZMAITOŚCI.

Sztuka i literatura:

— **Fuzya.** W epoce ekonomicznych spółek i artystyczne instytucye podlegają tej manii wypływającej z potrzeby. Krakowskie Tow. Przyj. Sztuk Pięk. połączyło się z lwowskiem Tow. Zach. Sztuk Pięk.

— **Don Juan** Bajrona przetłumaczony został całkowicie na język polski przez E. Porębowicza. Przed kilku laty zamieszczaliśmy wyjątki z tego przekładu w naszem piśmie. Podobno na zamówienie jednej z firm księgarskich w Warszawie, p. Porębowicz przystąpił do przekładu wszystkich tworów Bajrona.

— **Z. Kaczkowski** rozpoczął w „Gazecie lwowskiej“ druk swej najnowszej powieści „Abraham Kitaj“. Po długoletniem milczeniu autora „Murdeliona“ to nowe wystąpienie jego jako powieściopisarza budzi wielkie zajęcie.

— **Pan Wołodyjowski** jeden z trzech bohaterów Sienkiewicza „Ogniem i mieczem“ będzie przedmiotem całej powieści, jaką ten pisarz zamierza ogłosić dla uzupełnienia trylogii rozpoczętej przed paru laty.

— **Kaśka Karyatyda**, nowa praca belletrystyczna p. Zapolskiej, drukująca się w „Przeglądzie tygodniowym“ wskazuje wznowienie się sił autorskich p. Z.

— **Gwiazda.** P. Biegeleisen podaje w „Prawdzie“ (Nr. 51) wiadomość o nieznanej fantazyi Krasińskiego zatytułowanej „Gwiazda“. Natrafiwszy na ślad tej perły w koresp. Krasińskiego do Gaszyńskiego odnalazł ją p. B. w jednym z miesięczników francuskich.

(W. P.) **P. Rafał Löwenfeld,** autor cennej monografii o Łukaszu Górnickim, ogłosił we wrześniowym zeszycie czasopisma „Nord und Süd“ ciekawy ze wszech miar szkic p. t. „Typy społeczeństwa rosyjskiego w poezyi“, w którym podniósł pewne charakterystyczne cechy literatury rosyjskiej. Zaznaczywszy na początku, że w literaturze rosyjskiej bardziej aniżeli w każdej innej uwydatnia się ów ścisły związek między poezyą i życiem, wyszukuje w utworach poetycznych tego narodu typów, któreby mogły stanowić charakterystykę społeczeństwa i epoki w danych okresach czasu. Za pierwszy wydatny typ tego rodzaju uważa Eugeniusza Onegina, bohatera poematu Puszkinowego, który jest wiernym przedstawicielem młodszej generacyi społeczeństwa rosyjskiego z pierwszej ćwierci naszego stulecia. Postać Onegina uważana jako typ, odpowiada mniej więcej kreacyi Werthera w literaturze niemieckiej. Typowi temu rosyjskiego młodzieńca w osobie Onegina wyrzeźbionego, na tle wieku zarzuca głównie brak gruntownych i poważniejszych pojęć o zadaniu życia, a ztąd charakter słaby i niewyrobiony, wyegzaltowany panującym współcześnie kierunkiem bajronizmu w literaturze. Taką też była współczesna „Młoda Rosya“.

Dalszym tego rodzaju typem charakterystycznym jest postań Peczoryna w poemacie Lermontowa „Bohater naszych czasów.“ Tu autor powołuje się na słowa poety, który w przedmowie zapowiada, że jestto „portret na który się złożyły błędy całego pokolenia w jego dziejowym rozwoju.“ Jest też Peczoryn podobnie jak Onegin przedstawicielem młodzieńca współczesnego, wzrosłego w świecie burzliwych namiętności, i przesyconego użyciem, któremu życie prócz niesmaku żadnych nie pozostawiło wrażeń. Portrety Onegina i Peczoryna przedstawiają obraz społeczeństwa rosyjskiego w trzecim i czwartym dziesiątku lat naszego stulecia, a najlepszym probierzem wierności tego obrazu jest fakt, że skreśliła je mistrzowska ręka dwu największych poetów rosyjskich.

Trzecim z kolei wybitnym typem jest Obłomow, bohater romansu Gonczarowa, spadkobierca szlacheckiego majątku i rodu, zdradza wprawdzie dobre skłonności, spaczone jednak wychowanie w połączeniu z lenistwem stanowiącem plagę życia naszego bohatera, zwichnęło kierunek jego życia i uczyniło nieużytecznym członkiem społeczeństwa. I to także wierny typ pewnych warstw społecznych w Rosyi.

Następuje doba nowsze. Na widownią występują narodowi powieściopisarze. Ci tworzą nietylko typy ale przedstawiają przemianę pojęć i przekonań, owo szamotanie się społeczeństwa z cywilizacyą, ową walkę kulturną; chwytają żywcem charakterystyczne momenta owej walki będące odbiciem panujących dążności i kreślą z tego stanowiska uważane, mistrzowskie obrazy noszące na sobie wybitne piętno współczesnych prądów. W ten sposób przeprowadził nas p. Löweld przez całą ową arenę, na której ścierały się różnorodne kierunki dążności społeczeństwa rosyjskiego i wykazał o ile ślad tego uwidocznił się w literaturze.

— **La morale dans le drame, l'epopée et le roman par Lucien Arreat.** Autor tego zajmującego studyum, znany ze swych dawniejszych publikacyj, przedtem uczeń Comte'a i Littré'go obecnie jeden z najgłówniejszych współpracowników znanego czasopisma „Revue philosophique“ wychodzącego pod redakcyą Th. Ribota, usiłuje w powyższej monografii przedstawić idee obyczajowe, o ile się takowe w piśmiennictwie odźwierciedlają. Sprowadza on pojęcie moralności uważanej jako obowiązek do pewnej sumy przejawów które się w biegu stuleci wytworzyły i udzieliły jednostkom przez wychowanie. Według przedstawienia Arreat'a może być istota i treść obowiązku rozmaitą podczas gdy siła zobowiązania jest zawsze ta sama. Z tego stanowiska wyjaśnia autor głos sumienia, skruchę, konflikta moralne itd. Ośm rozdziałów książki traktuje o początku działalności obyczajowej, przedmiotach obowiązku, prawie obyczajowem, konfliktach moralnych (główny rozdział dzieła), zemście i skrusze, sprawiedliwości, naturalnym procesie wolnej woli wreszcie nagrodzie i życiu wiecznem.

Nader pouczającym jest sposób oceniania autora dzieł poetycznych, wszystkich narodów w rozmaitych epokach. W starogreckiej poezyi znajduje pierwiastek moralny który w swych pierwotnych prostych pojęciach idzie w parze z życiem rzeczywistem społecznem. W dziełach Szekspira zajmuje go głęboka obserwacya psychologicznej strony charakteru ludzkiego. W niemieckiej poezyi zaznacza jednolity kierunek krytyki filozoficznej i twórczości poetyckiej. Z tego samego stanowiska zapatruje się na literaturę francuzką. Etyczny np. pierwiastek w tragedyach Rasyna porównywa on z teologicznopolitycznym systemem Bossueta, dramata Szyllera z filozofią Kanta, tragedye Seneki z moralnością Stoików. Jednem pojęciem obejmuje Pieśń o Nibelungach, Eddę, eposy staro-indyjskie, teatr hiszpański i inne. Przedewszystkiem jednak nowoczesny dramat francuski a w szczególności — najnowszy kierunek naturalistyczny, służy mu jako obfity materyał do spostrzeżeń i ta też część dzieła jest z szczególniejszą starannością opracowana. Ciekawe i cenne studyum Arreat'a stanowi ważny przyczynek dla nowoczesnej krytyki, która wprowadza na nowe tory badań ze stanowiska filozoficznego.

— **„Bullettin litteraire et scientifique“** czasopismo literackie wydane w Paryżu przez byłych uczniów szkoły polskiej, zawiera w Nrze ostatnim: (27). Wspomnienie 30 letniej rocznicy śmierci Mickiewicza, przekład francuzki Alpuhary; „Burza“ wyjątek z p. Tadeusza przekład p. V. G. Artykuł Duchińskiego oraz obfity dział rozmaitości. Pismo to starannie bardzo redagowane zamieściło w poprzednich zeszytach przekłady francuzkie: „Wiesława“ Brodzińskiego, „Janka muzykanta“, Sienkiewicza, „Dumek“ Zaleskiego, „Trenów“ Kochanowskiego, które dokonane nadzwyczaj starannie i należytemi zaopatrzone objaśnieniami świadczą z jakiem zamiłowaniem wydawcy starają się popularyzować we Francyi literaturę polską.

— **Tania reklama.** Śp. Marya Bartusówna przed samym zgonem napisała wiersz treści następującej:

„Przybliż się blada, przybliż się cicha,
Odsłoń swe lica spokojem piękne
Ludzkość cię cała z trwogą odpycha
Ja się nie zlęknę.
Chociaż nie wierzę, by twoja ręka
Do złotych niebios wiodła podwoi;
Wierzę, że w grobie ból już nie nęka
Ciszą się koi.
Wierzę, że losu wściekłość bezsilna,
Do walk daremnych, tam już nie zbudzi
I że cieplejszą ziemia mogilna
Od serca ludzi.

Wiersz ten, jak wiele innych tworów poezyi nacechowany jest smutkiem i żalem nie przekraczającym dogmatów wiary, z któremi fantazya artystyczna mniej się liczyła. Otóż niejaki p. Stefan (milczy o nim bibliografia) na 17 stronicach wydanej własnym nakładem książeczki, zaznaczywszy że jesteśmy „pod naciskiem dzisiejszego prądu zbydlęcenia“ stara się dowieść że śp. Bartusówna wierszem tym zaszczepiła bezwyznaniowość, kosmopolityzm, ateizm i inne zbrodnicze *izmy*, których autor, jak święconej obawia się wody. I może znalazłby się niejeden łatwowierny, któryby uwierzył w szczerość, z jaką p. Stefan (niemasz go w bibliografii) broni społeczeństwa, gdyby nie ogłoszenia na okładce broszurki donoszące, że tegoż autora ukażą się niebawem poezye. Wyszło szydło z worka a reklama z obrony społecznej! Sposób wprawdzie tani reklamowania się, ale jak szanującego swą godność człowieka, za. .ekscentryczny.

— **Brandes** ma przybyć do Warszawy dla wygłoszenia kilku odczytów o naszem piśmiennictwie, którego badaniom poświęcał się od czasu odwiedzin Królestwa w r. zeszłym.

— **Doktór Faustyna**, dramat p. Rzewuskiego przedstawiono na scenie lwowskiej; krytyka miejscowa znalazła w nim te same zalety i wady, które podnosiliśmy przy przedstawieniu tej sztuki w Krakowie. Drukarnia Anczyca wydała dramat ten w formie książkowej.

— **Adam Mickiewicz.** Studyum Dr. Piotra Chmielowskiego już się ukazało w handlu księgarskim. Podamy o niem niebawem obszerniejszą wiadomość.

— **Gustaw Karpeles** autor niemiecki, interesujący się naszem piśmiennictwem zamieścił w „Prawdzie" (Nr. 50) ocenę szkicu literackiego pióra Choińskiego pt. „Henryk Heine".

— **Wydanie dzieł Mickiewicza** O najnowszem stereotypowem wydaniu pism Adama Mickiewicza, uskutecznionem przez lwowską firmę Gubrynowicza i Schmidta wyraża się prof. Chmielowski w „Ateneum" nie zbyt pochlebnie. Zarzuca on mianowicie nowej edycji brak należytego uporządkowania utworów, wskutek czego tom pierwszy szczególniej, obejmujący wiersze drobniejsze, przedstawia się bardzo niesmacznie, a nadto łączy liczne usterki i błędy tak co do chronologii jak i tekstu samego się odnoszące. Zdaniem poważnego tego krytyka, wydanie to pism największego wieszcza naszego, nie posiada prócz taniości (?), — żadnych zalet, któreby mu zaszczytne wyróżnienie w szeregu licznych dotychczasowych edycyj zapewnić mogło.

Z naszej strony dodać tu jeszcze musimy, że w chwili, gdy pisma wielkiego wieszcza naszego przeszły na własność ogółu, obowiązkiem było wydawców, jako dotychczasowych właścicieli pism Mickiewicza, dać w ręce publiczności wydanie któreby odpowiedziało wymaganiom zarówno potrzeby jak i krytyki, a to tem więcej, aby zagrodzić w tym kierunku drogę wydawnictwom tuzinkowym, których zawsze w podobnych okolicznościach, ze strony obcych spekulantów spodziewać się można. Dziwić się też nie powinni wydawcy, gdy wobec tego inne firmy księgarskie podejmą to usiłowanie.

— **Fototypy** z kartonów Kossaka, ilustrujących powieść Sienkiewicza „Ogniem i mieczem" wydaje zakład fotogr. Trzemeskiego.

Teatr i muzyka.

— **Dramat Renana** p. n. „Kapłan z Nemi" (*Le Pètre de Némi*), ukazał się już w handlu księgarskim, nakładem znanej firmy paryskiej Calman Levy. Dramat napisany prozą, rozgrywa się na 700 lat przed Chr., w okolicy jeziora Nemi, w dawniejszem Lacyum. Miejscem akcyi jest świątynia Dyany, a głównymi działaczami: kapłan Antistius i sibila Carmenta. Dramat Renana jest utworem tendencyjnym. Celem jego: artystyczne wcielenie t. z. walki kulturnej n szych czasów.

— **Dwa wieczorki.** Ze publiczność krakowska niema wyrobionego smaku artystycznego, złożyła dowód w ubiegłym miesiącu, P. Podwyszyński, wyjeżdżając z Krakowa urządził sobie wieczorek pożegnalny, w którym wzięły udział siły pierwszorzędne teatru i... sala była pustą, mimo starannego programu i niewątpliwych zasług beneficyanta P. Fiszer, niezaprzeczenie zdolny charakterystyk, którego monologi i typy żydowskie nie dochodzą często miary artystycznych kreacyj a wkraczają w dziedzinę scenicznego hecarstwa, na przedstawieniu swojem całą zajętą miał salę, grzmotami oklasków witany i żegnany za przekręcanie polszczyzny i naśladowanie żargonu żydowskiego. Nie wchodząc w ocenę dwu indywidualności aktorskich, jakie przedstawiają pp. Podwyszyński i Fiszer, dziwić się należy że inteligentna publiczność nasza woli słuchać „Opowiadań Lajbusia" lub Icka, niż monologów Gawalewicza przez Szymanowskiego wygłoszonych lub tragicznych strof Corneilla przez wymowne usta pn. Barszczewskiej popularyzowanych lub wreszcie pełnej uczucia deklamacyi pn. Kałużyńskiej. Ci, którzy tak zapalczywie oklaskiwali typy handlarza ulicznego, pijaka, bankiera wydali sobie świadectwo... dziwnego upodoba ia artystycznego...

— **Królewic.** Pod takim tytułem napisał p. Podwyszyński dramat historyczny; bohaterem jest Zbigniew, brat Bolesława Krzywoustego; utwór nosi na sobie piętno widocznych zdolności dramatopisarskich.

— **Patti** wystąpiła kilkakrotnie w Pradze Czeskiej, wzbudzając entuzyazm i zachwyt. Winszując artystycznej biesiady naszym pobratymcom, nie zazdrościmy im .. wysokich cen za bilety.

— **Nowości.** Benefisy aktorskie przynoszą nam zazwyczaj nowości dramatyczne. W tym sezonie ujrzeć mamy „Nerona", Cossy w przekładzie Kaszewskiego, „Amfitryona" Moliera i „Najserdeczniejszych" Sardou.

— **Nowa opera.** W operze lwowskiej rozpoczęto już próby z nowej opery Jarc ckiego p. t. „Jadwiga". Według doniesienia gazet tamtejszych nowy ten utwór cenionego kompozytora wartości jest niepoślednej.

— **Georgette**, nowa komedya Wiktoryna Sardou, przedstawiona po raz pierwszy w Vaudeville'u 13 grudnia 1885 obraca się w owom zaczarowanem kole tematów, które tylekroć były przedmiotem opracowań Dumasa, Delpita, Scribe'a i wielu innych, a których tło stanowi kwestya upadku moralnego w swych najróżnorodniejszych objawach i kombinacyach. Rzeczywiście kwesty tę już chyba jako problemat społeczny dzisiejszej Francyi uważać trzeba, gdy współcześni autorowie z takiem zamiłowaniem ten przedmiot traktują, a publiczność francuska znajduje w nim upodobanie.

W nowej swej komedyi Sardou stara się rozstrzygnąć pytanie czy uczciwa córka niegodnej matki ma prawo wejść w rodzinę zacną. Pomimo silnej argumentacyi i wyczerpania wszelkich możliwych *pro* i *contra*, czy nie chcąc, czy nie mogąc rozwiązać kwestyi pozostawia ją nierozstrzygniętą. Kompozycya utworu mistrzowska, pełna scen dramatycznych i efektów sprawiających wstrząsające wrażenie, a stanowiących właściwą cechę twórczości Sardou, zapewnia stuce powodzeni. Oto krótka treść utworu. Georgetta Coral, kobieta niepewnej przeszłości, dopłynąwszy po burzliwem życiu do portu małżeńskiego nabywa za drogie pieniądze herb i tytuł księżnej Carligton otwierający przed nią salony paryzkie. W tej sferze otoczona szacunkiem, pragnie zapewnić swej córce Pauli świetny los, łącząc ją z Gontranem hrabią de Chabreuil. Młoda para kocha się wzajemnie. Dumna matka Gontrana uważając Georgette za godną szacunku damę, łaskawie zapatruje się na ten stosunek, pomimo że ta miłość syna krzyżuje jej dawne zamiary połączenia go z Aurorą, siostrzenicą. Paula szlachetna dziewica (nie znająca również przeszłości matki) wzorowo wychowana w klasztorze, podbija wszystkich urodą, dobrocią i wdziękiem. Tymczasem stryj Gontrana, Clavel, przyjaciel zmarłego ojca Pauli przybywa z Indyi do Paryża. Przezorna Georgetta wzywa go do siebie i nie wspominając o stosunku jaki ją łączy z rodziną Chabreuil wymaga na nim przysięgę zamilczenia jej przeszłości. Nadbiegająca Paula zdradza jednak mimowoli całą prawdę. Clavel dowiedziawszy się, że rzecz tyczy się jego bliskiej rodziny, nakazuje w ciągu 24 godzin zerwać stosunki pod groźbą zdradzenia tajemnicy. Groźba została wykonana. Następuje wybuch rozpaczy. Po długich naradach rodzina Chabreuil postanawia jednak na skutek rozpaczy Gontrana przyjąć w dom niewinną Paulę, jednocześnie wyrzekając się jej matki. Powiadomiona o wszystkiem Paula odrzuca z wzgardą propozycyę. Córka udziela przebaczenie matce, łącząc się z nią w serdeczny uścisku. Gontran, któremu brak siły do zwalczenia przesądów społeczeństwa, łączy się z kuzynką Aurorą, a Paula pada ofiarą cudzych win. Taką jest osnowa „Georgetty".

Utwór sprawia dziwnie przygnębiające wrażenie; słuchacze nie doznają tu owego moralnego zadowolenia, jakkolwiek całość odmalowuje stosunki pozostawia pewien niesmak i nie przyczynia się do rozpogodzenia horyzontu przekonań społecznych.

— **Aspazya**, dramat Al. Świętochowskiego, drukowany w „Prawdzie" ma się ukazać w odbitce. Obok „Ojca Makarego"; „Helwii" i „Antei" będzie to jedna z najlepszych prac Świętochowskiego.

— **Krew za krew.** Obrazek dramatyczny w jednym akcie p. A. Saint Paul, grywany z powodzeniem na scenach prowincyonalnych w Królestwie ukazał się w oddzielnej odbitce; pop. zednio drukował go „Tydzień" piotrkowsk P. St. Paul, mimo cudzoziemskiego nazwiska jest Polakiem.

Cyd. W operze paryskiej wystawiono w ubiegłym miesiącu operę J. Masseneta „Cyd". Nowe to dzieło muzyczne, do którego treść wzięto ze znanej tragedyi Corneilla, wystawiono na zainaugurowanie sezonu przez nową dyrekcyę opery rozpoczętego (pp. Ritt. i Gerthari). Niezwykłego przepychu wystawa, obok niezaprzeczonych zalet partycyi i trafnego wykonania zapewniły operze Masseneta długotrwałe powodzenie.

Z prasy:

(*W. P.*) Ateneum. Kwartał III i IV. 1835. W ostatnich dwóch tomach tego naukowego miesięcznika znajdujemy piękną wiązankę prac doborowych i poważnych, które świadczą że pismo to śmiało wytrzymać może porównanie z najlepszemi tego rodzaju wydawnictwami niemieckiemi, a stanowczo stoi na pierwszem miejscu w rzędzie polskich naukowych czasopism.

W kwartale III. umieszczone są w dziale historyczno-literackim dwie prace: Bronisława Chlebowskiego: „Grażyna i jej stosunek do Jerozolimy" Tassa" oraz „Zarysy ruchu literackiego Rusinów". W pierwszej pracy rozbiera autor z nowego i dość wesołego stanowiska „Grażynę" Mickiewicza i wykazuje przez porównawcze zestawienia tekstu wpływ, jaki niby wywarł poemat Tassa w przekładzie polskim Piotra Kochanowskiego na umysł naszego wieszcza. Autor chce być oryginalnym i dochodzi do absurdów. Druga praca: „Zarysy ruchu literackiego Rusinów" napisana na wezwanie redakcyi „Ateneum" zawiera w treściwem zestawieniu ogólny zarys ruchu literackiego ukraińskiego w wieku XIX zarówno w cesarstwie rosyjskiem jak i austryackim. Praca powyższa napisana z gruntowną znajomością rzeczy a przytem w sposób zajmujący, jest cennym nabytkiem dla tak zaniedbanego u nas studyum literatury rusińskiej; z tego też powodu podnieść musimy na tem miejscu zasługi redakcyi, która nie szczędzi' trudu by tego rodzaju prace, tak na czasie będące, podać swym czytelnikom.

Dział historyczny mniej się w obu kwartałach przedstawia korzystnie. Prócz rozprawy Jarochowskiego: „Dwie missye Ponińskiego do Piotra I." znajduje się obszerniejsza praca Wiktora Czernaka p. t. „Sprawa Lubomirskiego" przedstawiająca część dziejów Jana Kazimierza, a opracowana przeważnie na podstawie materyałów zawartych w tece Lukasa. Praca jednakże grzeszy cokolwiek rozwlekłością i wskutek tego tylko zawodowego historyka zainteresować może. — Z działu rzeczy społecznych zasługuje na wzmiankę rozprawa K. Sosnowskiego: Przyczynek do krytyki statystyki współczesnej". Autor, zbijając twierdzenie statystyka, Giffena w dziele tegoż „The progress of the working classes in the las thalf century" w którem tenże na podstawie przez siebie zestawionych materyałów wyprowadza wniosek że byt klas pracujących w ostatnich 50 latach się nieproporcyonalnie powiększył, i że biednym przypadła w udziale cała korzyść z materyalnego za ostatnie lat 50 postępu, zwraca uwagę na błędne częstokroć wyprowadzanie wniosków z nagromadzonych dat statystycznych, na co statystycy, w interesie nauki, baczną w nni zwracać uwagę.

Dzi powieściowy wypełnia powieść E. Orzeszkowej: Dziurdziowie, oraz 2 udatn obrazki: Z. Komara: „Tantyema" i Zagórskiego: „Iwaś".

W Kwartale IV. znajdujemy w dziale literackim studyum C. Neymanna: „Dumy ukraińskie; rzecz o eposie kozackim Rusinów", stanowiące dalszy niejako ciąg poprzedzających zarysów literatury rusińskiej, tudzież nader zajmującą pracę Edwarda Schnobricha p. t. „Schiller w Polsce" wykazującą wpływ tego poety na naszą literaturę i charakterystykę oraz wyliczenie przekładów tego poety w naszem piśmiennictwie.

W dziale społecznym wyróżnia się praca p. Adama Zakrzewskiego: „Ze stosunków ekonomicznych w krajach polskich. Szkic stosunków włościańskich w księstwie poznańskiem". — W dziale nauk przyrodniczych przedstawił między innemi p. Nussbaum: Poglądy Naegelego na darwinizm i nową teoryę powstawania gatunków.

W dziale poezyi znajdujemy przekłady z Wiktora Hugo: Sumienie p. Felicyana i z Ludwiki Ackermann: Prometeusz i Czara królewska.

Do urozmaicenia pisma przyczyniła się bardzo wprowadzona w ostatnim kwartale „kronika miesięczna" pióra p. Ludwika Straszewicza, omawiająca w sposób barwny i zajmujący kwestye bieżące.

— **Przegląd Polski.** Kwartał IV. 1885. Z wyjątkiem kilku prac bardziej zajmujących, tom ostatni „Przeglądu", przedstawia się wcale ubogo. Jedynie na rozległą skalę prowadzony dział krytyki literackiej i sprawozdań z pola krajowego i zagranicznego piśmiennictwa, przyczynia się do ożywienia pisma.

Z prac poważniejszych znajdujemy: Dalszy ciąg „studyów nad pozytywizmem“, Dra X. Stefana Pawlickiego obejmujący charakterystykę Zofii Germain i Stuarta Milla. Obrazek Jerzego Mycielskiego: Porwana z klasztoru, sta nowi przyczynek do dziejów historyi obyczajów w Polsce w XVII. wieku. Praca Stan. Windakiewicza: „Życie dworskie Kochanowskiego“, która ukazała się właśnie w osobnej odbitce. — aczkolwiek zdradza nie wyrobione pióro, zawiera kilka cennych szczegółów z najmniej znanej epoki życia wieszcza czarnoleskiego.

Z prac mniejszych zasługuje na wzmiankę artykuł p. Stanisława Tomkowicza: „Polacy w świetle nowszej literatury niemieckiej“ oraz rzecz Prof. Kleczyńskiego o międzynarodowym instytucie statystycznym“. Zeszyt grudniowy zakończa wspomnienie o Aleksandrze Szukiewiczu, pióra St. Koźmiana. — Pismo w ogóle zaczyna zdradzać w ostatnim czasie brak współpracowników czego dowodem np. zamieszczanie tego rodzaju prac jak „Listy z podróży do południowej Ameryki“ które zresztą nic nowego nie zawierają, i bynajmniej nie kwalifikują się do naukowego miesięcznika.

— **Polnische Stimmen.** I. Ausrotten? Zürich 1886.

Leżący przed nami zeszycik obejmuje tłumaczenie wszystkich poważniejszych artykułów, pomieszczonych w pismach naszych tak w Królestwie, jak w Poznańskiem i Galicyi, w odpowiedzi na równie głośne, jak zwierzęco-brutalne nawoływanie pruskiego filozofa Hartmanna, do tępienia Polaków w dzielnicach w obręb państwa niemieckiego wchodzących. Znajdujemy więc tutaj przedewszystkiem replikę K. Jachorowskiego, A. Świętochowskiego, Maryana Morawskiego T. J. (z krakowskiego „Przeglądu powszechnego“) J. Karłowicza, St. Rzętkowskiego, i dwie bezimienne z „Kłosów“ i „Kraju“ petersburskiego.

Przegląd tygodniowy: Dodatki miesięczne. Półrocze I. i II. Warszawa 1885.

Ruchliwy organ pozytywistów warszawskich podał w książkowych dodatkach miesięcznych wcale obfity zbiór prac większych, poważniejszych, przeważnie z dziedziny nauk społecznych, ekonomicznych i przyrodniczych, udzielając jednak dosyć szczodrze miejsca i innym działom umiejętności, a w szczególności studyom historyczno-literackim, tudzież krytyce i beletrystyce. Całość zebrana w dwóch wielkich tomach przedstawia się bardzo korzystnie. Wydawnictwo widocznie postawiło sobie za zadanie stworzyć z owych dodatków miesięcznik popularno-naukowy, któryby odpowiadał poziomowi przeciętnie wykształconego ogółu, dla którego przeznaczonym jest „Przegląd tygodniowy“, a zadanie to spełnia rzeczywiście sumiennie i z prawdziwą korzyścią dla swych czytelników.

W szeregu prac literackich zamieszczonych w bieżącym roczniku, wyróżnia się obszerne studyum Dra H. Biegeleisena p. t. „Atak Mickiewicza na obóz klassyków“. Jestto o ile nam wiadomo, wyjątek z większego dzieła, które p. B. przygotowuje do druku, a które obejmie epokę walki klassyków z romantykami. P. Zygmunt Pietkiewicz w szkicu: Ekonomiści w Polsce, podał charakterystyki: Wawrzyńca Surowieckiego i Fryderyka hr. Skarbka. Zdaniem naszem jednak sylwetki powyższe zbyt są narysowane pobieżnie i dorywczo, aby mogły stanowić, jak sobie tego autor życzy: „przyczynek do dziejów ekonomii politycznej u nas“. Z prac literackich zasługuje jeszcze na wzmiankę studyum p. Stanisława Rzewuskiego p. t. Paul Bourget będące dalszym ciągiem studyów tego utalentowanego autora nad literaturą francuską, zatytułowanych: „Młoda Francya“, zamieszczonych w roczniku poprzednim, których początek stanowiła charakterystyka Guya de Maupassant'a. Ciekawy przyczynek do dziejów zniesionej instytucyi stanowią: kartki z dziejów Banku polskiego spisanie przez b. urzędnika, w których autor kreśli stopniowy i od dawna już się datujący wzrost i postęp tych czynników, które w dalszym ciągu wpłynęły na zwinięcie tej ważnej instytucyi.

Z prac oryginalnych w zakresie nauk przyrodniczych ciekawemi są studya Dra Sroczyńskiego: „Zbrodnia jako produkt choroby“ oraz Dra Złotnickiego: „Wyradzanie się ludzkości“.

W obfitym wreszcie i starannie redagowanym dziale ekonomicznym i przyrodniczym znajdujemy umiejętne streszczenie ważniejszych i ciekawszych dzieł z obcych piśmiennictw.

Przez położenie większego nacisku na dział historyczno-literacki oraz krytyczny, „Dodatek miesięczny“ stał by się bardziej interesującym i urozmaiconym. Nie wątpimy, że gdy dalej w tym kierunku rozwijać się będzie, zyska sobie należne miejsce w szczupłej liczbie naszych naukowych miesięczników.

— **Biblioteka warszawska kwartał IV. 1885.** Ciężki materyał jaki Bibl. warsz. zamieszcza w ostatnich czasach, nie może budzić w obec innych naukowych miesięczników tego zainteresowania wśród ogółu, jakie by mu tradycya poprzedniej świetności zapewnić mogła. Jedynie dział literatury i krytyki zawierający od czasu do czasu jakąś ciekawszą rozprawę — tudzież barwnie pisana kronika paryzka i ekonomiczna urozmaicają tę monotonną treść, która w obecnej chwili stanowi charakterystyczną cechę „Biblioteki warszawskiej“.

W ostatnim kwartale znajdujemy w dziale literatury dwie rozprawy: Barona Manteuffla: Rzut oka na pieśni gminne łotewskie tudzież niewiadomego autora pracę cokolwiek większą: „Towarzystwo Ixów“, stanowiącą przyczynek do dziejów krytyki w literaturze polskiej. Dział historyczny mieści dokończenia dwóch rozpraw z dziedziny dziejów polskich mianowicie Waliszewskiego: Marya Mantuańska, królowa polska (1644—1648) omawiającej dostatecznie wyświecone dzieje Maryi Ludwiki Gonzagi drugiej małżonki Władysława IV., tudzież studyum Leona Chrzanowskiego: Odsiecz Wiednia 1683. opracowana na podstawie źródeł współczesnych.

W dziale filozoficznym streścił Dr. Aleksander Raciborski „Pojęcie przyczynowości w systemie logiki dedukcyjnej i indukttynej J. St Milla.

W dziale poezyi zamieścił Felicyan przekład VII. satyry Horacego „Saturnalia“.

Dział statystyczny i ekonomiczny zawiera cenniejsze studyum Z. Glogera „Obraz statystyczny szkół“ w guberniach zachodnio-południowych Cesarstwa w latach 1825—1826 na podstawie „raportów urzędowych“, oraz studyum Dra Chodeckiego: „O pijaństwie“.

Dwie wreszcie mniejszej wartości rozprawki geograficzne oraz sprawozdanie ze zjazdu archeologów we Lwowie zamykają tom, który aczkolwiek lepiej się cokolwiek przedstawia pod względem urozmaicenia treści od dwu poprzednich, w każdym jednak razie nie jest w stanie obalić mniemania ogólnie dziś przyjętego że „Biblioteka“ narosła od pewnego czasu pleśnią, która w obec gorączkowej dziś ruchliwości i postępu w dziedzinie nauk i literatury z istniejącymi stosunkami jest cokolwiek w dysharmonii.

— **N. Reforma**, po ukończeniu powieści „Dwie drogi“, drukowała w odcinku: A. Tristisa „Głos rozsądku“ A. J. Sęka „Nieszczęśliwych“ i Jana Zacharjasiewicza nowelę pt. „Słomiany człowiek“.

— **Gaz. Polska** zamieszcza powieść Choińskiego „Stłumione iskry“.

— **Revue universelle**, dwutygodnik wydawany w Paryżu przez pp. Władysława Mickiewicza i Juliusza Lerminę zamieścił w ostatnich zeszytach przekład „Tadeusza“ Orzeszkowej, pamiętnik Kraszewskiego tudzież przeglądy literatur zagranicznych i stałe kroniki p. Lerminy. Staranność redakcyi jest widoczną, przydatnem jednak byłoby wprowadzenie działu notatek bibliograficznych przez co dwutygodnik zyskałby na wziętości, służąc za informacyą.

— **Echo muzyczne i teatralne** zamieszcza od pewnego czasu sylwetki najwybitniejszych autorów, krytyków, aktorów, śpiewaków itd. Pomieszczono życierysy: Chmielowskiego, Tarnowskiego, Zapolskiej, Wisnowskiej, Hermanównej, Cieślewskiego i Hajoty.

Kraj petersburgski zamieścił nowelkę p. J. Zengtellera „Eljen“ osnutą na tle wycieczki Polaków do Pesztu. W tymże numerze mieści się feljetonowa „kronika krakowska“. Autor zamaskowowany jest pseudonymem „Smok“.

Zmarli:

— **A. Szukiewicz**, długoletni redaktor „Czasu“.

— **Jan Papłoński**, dyr. Instytutu dla głuchoniemych i ociemniałych w Warsz.

— **Artur Bartels**, znany w całym kraju autor nieporównanych piosnek i satyr, zmarł dnia 22 Grudnia r. z. Życiorys zmarłego pomieścimy w przyszłym Nrze „Przeglądu“.

Odpowiedzi Redakcyi.

— **Kuryerowi codziennemu w Warsz.** Resurecturi vos salutant.

— **Janowi Łam. w Warsz.** Po nowym roku, kiedy pismo zmieni format ureguluje nakład i urozmaici zaprowadzone działy — będziemy korzystać z uprzejmości pańskiej.

— **J. W. w Warsz.** Wydanie dzieł Mickiewicza przez nas podjęte zawierać będzie wszystkie pisma poetyczne a więc i „Farysa“, o którego pani się pyta.

Panu F. S. Zwracasz pan naszą uwagę, że z artykułu o „Ananasie“ w „W. K.“ wieje duch osobistej nienawiści, a prędzej nawet czyjegoś interesu. Nie mylisz się pan. Zbyt dobrze znamy ptaszka i jego „moralność“. Ananas spekulacyom tego pana wszedł w drogę. Handlarz świętościami, fałszywy doktór, fałszywszy jeszcze katolik i człowiek, kąsa zawsze milczkiem każdego, co mu śmie robić konkurencyą. Opowiedzielibyśmy panu ciekawe szczegóły w tem indywiduum, tak z czasów dawnych jak i obecnych. Niemoralność nam zarzuca człowiek, który nigdy nie szedł prostą drogą. Nazywasz pan to bezczelnem — zupełna racja, kochany panie, ale jeżeli idzie o własny interes, to pan ten przed niczem się nie cofnie! Niech żyje uczciwa konkurencja!

Autorzy i wydawcy, pragnący wzmianki o swoich pracach i nakładach w „Przeglądzie lit. art.“ zechcą takowe nadsyłać pod adresem redakcyi:
Ulica Sławkowska, hotel Saski.

Wszystkie artykuły w niniejszym numerze zawarte, a od redakcyi pochodzące obejmują czas od 1. Grudnia do 9. Stycznia 1886 r.